Co o tym sądzisz?

WOLNE SOBOTY W SZKOŁACH

TAK czy NIE?

CZWARTEK Nr 14 85-01-31 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Kiedy w 1980 roku rozważano możliwość wprowadzenia wolnych sobót w szkołach, już wówczas propozycja ta miała i swoich zdecydowanych zwolenników, i przeciwników. I to zarówno wśród rodziców, nauczycieli, jak i uczniów. Chociaż wypada w tym miejscu przypomnieć, że w przeprowadzonej wówczas przez „Świat Młodych" sondzie blisko 70 proc. czytelników biorących w niej udział opowiedziało się przeciw (!).

Zwolennicy wolnych sobót twierdzili, że młodzież będzie mogła lepiej wypocząć po całym tygodniu pracy, że stworzy jej się warunki do rozwijania własnych zainteresowań, na które nie zawsze starczało czasu, że wreszcie również więcej czasu dla siebie wzajemnie będę mieli rodzice i dzieci. Oponenci. przede wszystkim zwracali uwagę na fakt że wydłuży się znacznie dzienny czas pracy ucznia — więcej godzin w szkole, więc i przygotowanie się do zajęć z większej liczby przedmiotów. Ostatecznie zdecydowano: nauka trwać będzie pięć dni, a że program musi być zrealizowany, doda się każdego dnia jedną godzinę zajęć i skróci wakacje. Za to w sobotę szkolne pomieszczenia można będzie wykorzystać na różnego rodzaju zajęcia rekreacyjne, kółka zainteresowań itp.

Po trzech latach doświadczeń wracamy do dyskusji na temat wolnych sobót w szkołach i sumujemy wszystkie argumenty „za" i „przeciw". Faktycznie, uczniowie zyskali wprawdzie jeden dzień wolny, ale: czas pracy szkół wydłużył się niepomiernie. Szczególnie w dużych miastach, na nowych osiedlach nierzadko zajęcia rozpoczynają się grubo przed ósmą, a kończą o osiemnastej, dziewiętnastej. Racja, że nie jest to spowodowane tylko wolnymi sobotami, a przede wszystkim brakiem szkół, których ciągle nie buduje się w dostatecznej ilości. Wydłużył się także czas pracy ucznia: więcej zajęć w szkole, więcej lekcji do odrabiania. Ambitniejsi mają jeszcze zajęcia pozalekcyjne. Wprawdzie planowano, że odbywać się będą w wolne soboty, ale jeśli już są, to najczęściej w każdy inny dzień tygodnia. W soboty zaś szkoły zamyka się na cztery spusty.

A jak ten dzień wykorzystują uczniowie? Różnie. Jedni odsypiają zarwane nauką noce, inni nadrabiają zaległości szkolne, jeszcze inni po prostu się nudzą i nie wiedzą co ze sobą zrobić. I często okazuje się, że wolna sobota wcale nie jest takim dobrodziejstwem, jak to sobie na początku obiecywano.



W tej sytuacji Ministerstwo Oświaty i Wychowania zdecydowało poddać całą sprawę społecznej dyskusji, przedstawiając cztery propozycje. Oto one:

Wariant I - szkoły realizują obowiązkowe zajęcia w ciągu 5 dni oraz w sobotę wówczas, kiedy w tygodniu wypada dzień wolny od zajęć lekcyjnych (np. 1 V, 1 XI). Rozpoczęcie, roku szkolnego na początku września, zakończenie z końcem czerwca, przerwa zimowa i wiosenna trwałaby 5-6 dni, a dwutygodniowe ferie po zakończeniu pierwszego semestru. Ten system organizacji roku szkolnego obowiązuje obecnie.

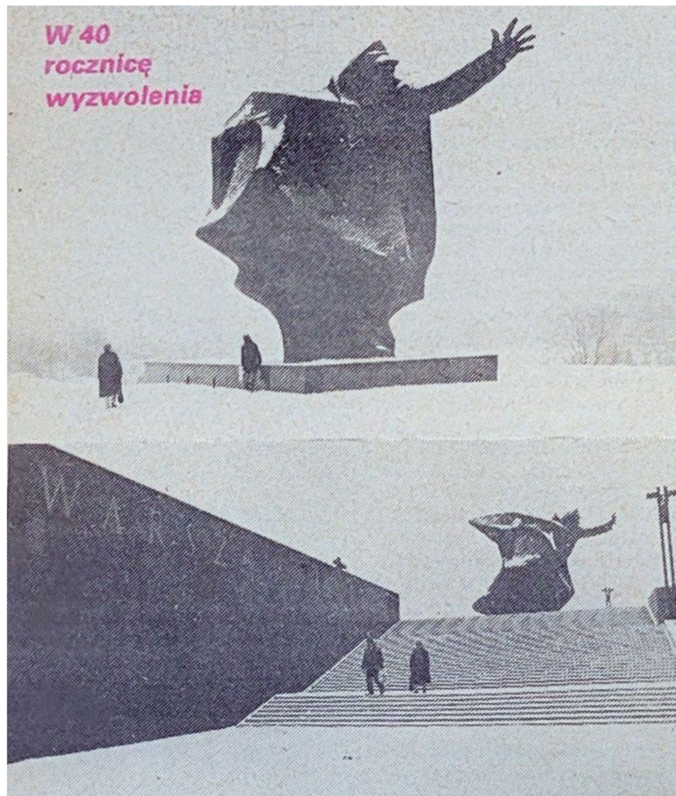
Wariant II - obowiązkowe zajęcia odbywałyby się w pięciu dniach tygodnia oraz w jedną sobotę w miesiącu uznaną w danym województwie za roboczą. Zyskano by w ten sposób 10 dodatkowych dni nauki, co pozwoliłoby na zmniejszenie liczby zajęć w pozostałe dni tygodnia. W tym wariancie ferie, przerwy świąteczne, wakacje trwałyby tyle samo co w wariancie I.

Wariant III — obowiązkowe zajęcia dla klas IV—VIII szkół podstawowych i wszystkich ponadpodstawowych w 6 dniach tygodnia. Klasy I—III pracowałyby przez pięć dni w tygodniu. Początek roku szkolnego, ferie, przerwy świąteczne jak w wariancie I, za to wakacje rozpoczynałyby się już 21 czerwca.

Wariant IV — szkoły pracujące na dwie i więcej zmian miałyby zajęcia obowiązkowe przez sześć dni tygodnia, pracujące na jedną zmianę — przez pięć dni. Rozpoczęcie roku szkolnego, ferie, przerwy świąteczne jak w wariancie I, natomiast zakończenie roku szkolnego dla pracujących przez sześć dni w tygodniu 21 czerwca, dla pozostałych z końcem czerwca.

Która z tych propozycji wydaje Ci się najlepsza i dlaczego — spróbuj uzasadnić. A może masz zupełnie inną, jeszcze lepszą od przedstawionych? Do 15 lutego czekamy na opinie naszych czytelników, po czym wszystkie przekażemy Ministerstwu Oświaty i Wychowania. Adresujcie swe listy: „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, z dopiskiem na kopercie: Wolne soboty.

(mj)



Pomnik Kościuszkowca

Między północnym brzegiem portu praskiego a mostem Poniatowskiego wznosi się potężny monument. Przedstawia on żołnierza w pelerynie, w rogatywce na głowie, z pepeszą w prawej ręce, z lewą ręką wyciągniętą ku centrum stolicy.

Pomnik - odsłonięty w dniu 17 stycznia, a więc w dniu wyzwolenia lewobrzeżnej Warszawy, poświęcony jest żołnierzom 1 Dywizji Piechoty im.Tadeusza Kościuszki.

Miejsce to wybrano dlatego, że właśnie tu, po ciężkich bojach, o świcie 14 września 1944 roku dotarł 1 pułk piechoty z tej dywizji.

Autorem projektu pomnika jest artysta plastyk - Andrzej Kasten.

(wm)

Fot. **M. Zieleniewska**

WARSZAWA UHONOROWANA

Warszawa została udekorowana Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Zaszczyt to ogromny dla miasta i powód do dumy dla ludzi, którzy odbudowali naszą stolicę i stworzyli z niej centrum życia politycznego, kulturalnego, naukowego i gospodarczego kraju.

Doniosłego aktu dekoracji Sztandaru Stolicy dokonał w czasie uroczystej sesji Stołecznej Rady Narodowej, Przewodniczący Rady Państwa prof. H. Jabłoński.

Warszawa w liczbach

- 40 lat temu Warszawa liczyła 437,6 tys. mieszkańców. Dziś stolicę zamieszkuje 1 650 tysięcy warszawiaków.
- Powierzchnia Warszawy wynosi 469,6 km kw. i jest trzykrotnie większa niż w 1939 roku.
- W stolicy można robić zakupy w 8423 punktach sprzedaży detalicznej.
- Restauracji, barów, stołówek itd. jest w stolicy 969.
- Warszawa ma 529 szkół, 633 przedszkoli, 95 żłobków, 191 bibliotek publicznych, 54 kina, 22 teatry, 2 opery, 1 operetkę, 10 muzeów, 15 hoteli, 10 domów wycieczkowych, 58 klubów sportowych, 34 szpitale.

Będą szkolne encyklopedie!

„MATEMATYKA" — zapowiedziana już na ten rok

(PAP). Po raz pierwszy w Polsce uczniowie będą mieli własne, dostosowane do ich wiedzy i potrzeb encyklopedie. Wydania sześciu tomów encyklopedii szkolnych podjęły się Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Poszczególne tomy obejmą: matematykę, historię, naukę o społeczeństwie, kulturę, fizykę i chemię, biologię i geografię, w zakresie programu szkół podstawowych I średnich. W pracach nad poszczególnymi tomami uczestniczą naukowcy oraz nauczyciele - praktycy. Najszybciej, bo chyba już w bieżącym roku, do rąk uczniów trafi „Matematyka". Tom ten zawierać będzie 1500 haseł, wiele ilustracji i zdjęć. Znajdą się w nim następujące działy: algebra, analiza, statystyka, rachunek prawdopodobieństwa, logika, teoria mnogości, geometria, informatyka. Encyklopedia „Matematyka" przeznaczona jest dla uczniów klas starszych szkoły podstawowej oraz szkół średnich.

Następnym tomem będzie „Historia", Znajdzie się w nim ponad 2 tys. haseł, 800 ilustracji i około 150 map. Próbny egzemplarz, przesłany do oceny nauczycieli i uczniów, zyskał bardzo pochlebne opinie. Tom encyklopedii szkolnej „Historia" ma się ukazać pod koniec 1986 r. lub - najpóźniej-w roku 1987. Tom następny - „Nauka o społeczeństwie" - spodziewany jest również w roku 1987. **(kl)**



POLEGAM NA TOBIE JAK NA ZAWISZY

Jestem drużynową 67 DH Harcerskiej Służby Granicznej im. O. Drahonowskiej. Agnieszka, korespondentka HSI, rozmawiając ze mną, powiedziała, że „Świat Młodyph" ogłasza konkurs „Moje harcerstwo...". Napisać czy nie? - pomyślałam. Tak napiszę. Napiszę, jakie jest to moje harcerstwo.

Zaczęło się od szkoły podstawowej. Zuchy. Wspaniała drużynowa wprowadzająca nas w tajniki zuchowego życia. Wesołe, zajmujące zbiórki w drużynie „Słonecznych", pierwszy totem, pląsy, zabawy, oczekiwanie na kolejne zbiórki...

Harcerstwo młodsze. Na pierwszy obóz pojechałam, gdy miałam 11 lat. Po trzech dniach miałam dosyć. Błagalny list do domu (taki z łezką) i odpowiedź mamy:

„Cześć! Trzymaj się! Polegam na tobie jak na Zawiszy."

No i zaczęło się. Kto to był Zawisza? Pytania, dociekania, rozmowy z drużynową... Już wiem i na pewno nie zawiodę. Wytrzymałam. Spodobało mi się. Po wakacjach złożyłam przyrzeczenie, później zostałam zastępową. Z zapałem pracowałam w drużynie. Wspaniałe, wiosenne rajdy rowerowe, alerty Naczelnika, TWO, Andrzejki... Pracowałam jak umiałam, chciałam pracować, ale...

Szkoła średnia. HSPS i słowa wychowawcy: „Cała klasa musi należeć do ZHP". Należeliśmy i nic więcej. Z tego okresu utkwiły mi w pamięci poniedziałki (dzień mundurowy - wszyscy musieli być w mundurach bo inaczej...) i 1 V (pochód). Zbiórek nie było wcale. Zbuntowałam się dopiero w III klasie - koniec z harcerstwem.

Nawet nie przyszło mi do głowy, nie przeszło przez myśl, że już wkrótce znów założę mundur harcerski i będę... drużynową. Sprawił to czysty przypadek.

Latem, po zdaniu matury, ot tak, dla rozrywki, pojechałam z harcerzami na obóz wędrowny w Bieszczadach. Obóz prowadził dh Janusz. Harcerze go wprost uwielbiali. Zwracali się do niego ze wszystkimi problemami, ufali mu, był to ich druh. Coś we mnie drgnęło. Jak bardzo mu zazdrościłam. Zaczęłam marzyć o własnej drużynie, o tym, żeby do mnie zwracał się ktoś - druhno. Bardzo chciałam zdobyć sobie zaufanie harcerzy. Marzyłam, miałam wzniosłe plany.

Po powrocie z obozu dostałam (z przydziału) drużynę harcerską. Nie była to drużyna wymarzona, ale od czegoś trzeba zacząć. Tworzyli ją harcerze VIII klasy. Prowadziłam ich przez rok. Była to jeszcze praca nieudolna. Kłopoty, powodzenia i niepowodzenia, wzniosłe plany upadły, jednak zaczęłam się w to „wgryzać". Złożyłam zobowiązanie; instruktorskie. Coś się zaczęło dziać. Byłam drużynową.

W1982 r. zostałam komendantką szczepu (z nakazu i rozkazu). Płakać mi się chciało. Co ja będę robiła? Początkowo pomagał mi dh Janusz. Gdy miałam jakieś kłopoty, zwracałam się do niego, wszystko załatwiał. Chrzest bojowy przeszłam latem, gdy musiałam poprowadzić biwak szczepu. Kłopoty kadrowe, rachunki, kasa, zakupy...

Później pojechałam (w zastępstwie) na obóz do NRD z 66 DH im. Fr. Kędziory. Po powrocie, w nowym roku szkolnym, założyłam wielopoziomową 67. DH HSG.

Zaczęliśmy od umundurowania. Pierwsze zbiórki, szkolenia, a później rajdy,biwaki, konkursy, manewry, turnieje i pierwsze sukcesy. Nagrody, dyplomy, puchary i ciągłe szukanie czegoś więcej. Karty kronik zapełniały się. Poznawaliśmy wspaniałych ludzi. Nasza praca dawała nam coraz większą satysfakcję. Zostaliśmy Drużyną Sztandarową Hufca. Harcerze zżyli się ze sobą, tworzyli wspaniałą, wesołą, zgraną grupę.

Odkryłam sens harcerstwa. ZHP - wspaniała organizacja, która zmienia charaktery i może wiele... Wspomniana Agnieszka na pierwszym biwaku była ospałą, ciągle z czegoś niezadowoloną dziewczyną. Dyżur w kuchni, mycie garów były dla niej „okropieństwem". Teraz Agnieszka jest wspaniałą przyboczną zuchową, czynnie działa w 67 DH, jest korespondentką HSI, gra na gitarze. Harcerstwo stało się jej pasją. Tym samym jest ono i dla innych: Gośka, Mariola, Iwona, Baśka, Heniek, rozbrykany Jacek, wiotki indywidualista Karol i Marta, która na ostatnim rajdzie, szukając zagubionych kolegów, mówiła: „Druhno, ja już nigdy, na żaden biwak, rajd...".

Właśnie - druhno. Doczekałam się, spełniły się moje marzenia. Harcerze zwracają się z różnymi problemami, ufają mi (chyba), jest fajnie. Wśród nich czuję się wspaniale. Biegam w mundurku, śpiewam, chodzę na rajdy, szaleję tak jak oni. Razem organizujemy różne imprezy. Zbieramy makulaturę, butelki, wzbogacając w ten sposób konto drużyny. Pracujemy na rzecz środowiska. Dziś w Barcianach nikt nie dziwi się widząc harcerzy maszerujących ulicą, grabiących trawniki czy kopiących ziemię.

Są w naszej pracy i trudne chwile, problemy w szczepie i drużynie. W tym roku chciałam z tym wszystkim skończyć. Wydawało mi się, że mam dosyć. Ale... „Harcerzem jest się całe życie"... Nie rzuciłam szczepu i 67 DH. Dobrze się stało, bo to „moje harcerstwo", to nie tylko ja i moje sprawy, ale również (a może przede wszystkim) moi harcerze. Ich troski i radości. Kłopoty, smutki, nieporozumienia znikają, problemy (a mieliśmy ich ostatnio sporo) rozwiązują się, gdy zasiadamy we wspólnym kręgu, kręgu przyjaźni. Dziś wszyscy wiemy, co znaczą słowa - polegam na tobie jak na Zawiszy.

Wdzięczna jestem mamie za te słowa napisane 11 lat temu i dh Januszowi za to, że zabrał mnie na obóz wędrowny w Bieszczady. Dzięki nim zostałam harcerką i przeżywam wspaniałą przygodę, która (jak mi się wydaje) trwać będzie całe życie. Może nie będę zawsze działała czynnie, ale sercem i duchem na zawsze zostanę z harcerzami.

Harcerstwo to nie tylko rozrywka i organizacja czasu wolnego - to praca dająca satysfakcję, radość i efekty. Praca nie tylko dla siebie, ale i dla innych.

pwd Ewa Piątkowska

Moje harcerstwo ● Moje harcerstwo

Bardzo ważne są początki

Z listów, które czytamy pod nagłówkiem „Moje harcerstwo", wywnioskowałyśmy, że nasze początki w harcerstwie nie były wyjątkiem. Do zuchów zostałyśmy przyjęte w pierwszej klasie. Z tego okresu mało pamiętamy, wiemy tylko, że zbiórki były nieciekawe. Przychodziłyśmy na nie i przyglądałyśmy się jak druhny próbują uspokoić rozkrzyczanych chłopców. Zbiórki odbywały się zawsze w szkole, nie były organizowane ogniska. Złożyłyśmy obietnicę zuchową potem przyrzeczenie. Te chwile pamiętamy dokładnie.

Zawsze chciałyśmy działać w harcerstwie tak naprawdę, należeć do „drużyny marzeń". Jednak nasze pragnienie nie mogło się spełnić, ponieważ w szkole podstawowej nie było takiej drużyny.

W szóstej klasie zostałyśmy zastępowymi dwóch różnych zastępów. Nie miałyśmy żadnego przygotowania, nie wiedziałyśmy nic o historii harcerstwa, terenoznawstwie, samarytance; nic, czego mogłybyśmy nauczyć nasze zastępy. Nawet piosenek harcerskich znałyśmy bardzo mało. Korzystałyśmy z „Biblioteczki zastępowego", stamtąd wzięłyśmy pomysły do nauki szyfru i wiele innych. Starałyśmy się razem wymyślać scenariusze zbiórek, organizowałyśmy podchody między zastępami i inne zabawy, ale nie było tego zbyt wiele.

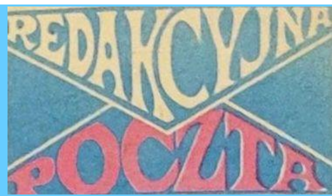
W następnym roku trafiłyśmy (zupełnie przypadkowo) do drużyny o jakiej marzyłyśmy. Jest to drużyna środowiskowa przy LO. Tu poznałyśmy prawdziwe harcerstwo, nauczyłyśmy się wielu nowych rzeczy, o których nie miałyśmy pojęcia. Jest tu po prostu wspaniale!

Najpierw czułyśmy się trochę nieswojo, no, bo takie małe wśród licealistów, ale oni wcale nam tego nie dali odczuć.

Wstąpienie do tej drużyny zawdzięczamy drużynowemu. On stworzył drużynę środowiskową i nas do niej przyjął. Zorganizował nam pierwsze wycieczki i biwaki-były wspaniałe! Długo będziemy pamiętać te zbiórki, na których słuchałyśmy ciekawych gawęd druha, uczyłyśmy się piosenek, samarytanki, terenoznawstwa. Później było zdobywanie sprawności, stopni, wszystko to było takie imponujące i ciekawe.

W tym roku nasza najmłodsza siostra rozpoczęła naukę w szkole podstawowej. Bardzo chciałybyśmy, aby jej pierwsze zetknięcie z harcerstwem było inne niż nasze. Dlatego postanowiłyśmy prowadzić drużynę zuchową, do której ona by należała. Obecnie staramy się zdobywać jak najwięcej informacji o prowadzeniu takiej drużyny. Pochłaniamy opracowania i książki na ten temat. Siedzimy czasami i wyobrażamy sobie naszą drużynę, taką koleżeńską, rozbawioną, wesołą. Czy nam się uda stworzyć taką gromadę? Czy uda nam się pokazać naszej siostrze harcerstwo, o którym wiele już słyszała od nas? Takie prawdziwe harcerstwo?

Bliźniaczki



Czy powinienem otrzymywać kieszonkowe?

Nigdy jeszcze nie, pisałem do „RP", Często z rad w niej zawartych korzystałem, lecz teraz sam jestem bezradny. Mam 14 lat i chodzą do VII klasy. Moja mama ciągle mówi, że nie ma pieniędzy i nie chce mi dać kieszonkowego. Choć tata nie pracuje, cała wypłata mamy nie jest wydawana na żywność, odzież ftp. Kupuje ona często różne ciasteczka (które niejednokrotnie wyrzuca się zeschnięte), kremy, kolczyki itp. itd.

Przekonywałem ją już wiele razy, że gdyby zaoszczędziła na tym wszystkim, to mogłaby mi dać choć 200 zł miesięcznie. Nic z tego, a ja prenumeruję „Świat Młodych" za uzbierane pieniądze ze sprzedaży butelek. Hoduję ryby i nie mam im co dawać do jedzenia; mam motorower, lecz nie jeżdżę bo pieniędzy na benzynę nikt nie chce mi dać. Sprzedaję plakaty grup rockowych, książki, komiksy, ale to ledwo starcza na „Świat Młodych". Poradźcie, co robić? Liczę tylko na Was.

„Marc"

OD REDAKCJI: Twoja mama pracuje, okazuje się ponadto że sama utrzymuje rodzinę. Zarabia pieniądze, która ma prawo wydawać na to co chce. Oczywiście, że powinno się gospodarować funduszami oszczędnie i rozsądnie, nawet gdy dysponuje się większą gotówką. Na kupowanie żywności i wyrzucanie jej, czyli marnowanie nie powinni pozwalać sobie nawet bogaci ludzie!

W rodzinie najlepiej jest wspólnie układać budżet. Wszyscy w tym powinni uczestniczyć - dzieci też. Jest to znakomita okazja do nauczenia się dobrego gospodarowania: przecież każdy młody człowiek założy kiedyś rodzinę i będzie musiał sam umieć rozsądnie i odpowiednio wydawać pieniądze. Gdyby tak było w Twoim domu, to właśnie podczas rodzinnych finansowych ustaleń można byłoby przewidzieć Twoje kieszonkowe (dokładnie - odpowiednią sumę). Bo, naszym zdaniem, powinieneś je otrzymywać i rozsądnie nim rozporządzać oraz z wydatków wyliczać się przed mamą. (bs)

Czy dziewczyna może się przyjaźnić z chłopcem?

Piszę ten list nawiązując do wszystkich innych listów o pozyskanych, zazdrosnych, niewiernych i straconych przyjacielach i przyjaciółkach. Jedni piszą o tym jak pozyskać jej (jego) przyjaźń, inni co zrobić, by jej nie utracić.

Mam 15 lat i zastanawiam się czy stwierdzenie, że chłopak może się przyjaźnić z dziewczyną jest prawdziwe czy fałszywe? Stykałam się z wieloma chłopcami, którzy niestety, patrzyli tylko na urodę i ciuchy, a nie na charakter i sposób bycia danej osoby. Ja chciałabym mieć przyjaciela, z którym można poważnie porozmawiać albo pożartować. Tracę już wiarę, że są na naszym świecie ludzie, których można nazwać przyjaciółmi. Jeśli ktoryś z chłopców albo nawet jakaś dziewczyna ma odmienne zdanie, to proszę o wypowiedzi na „niebieskim pasku".

Beata



W październiku 1984 r. została utworzona nasza drużyna. Wkrótce rozpoczęliśmy realizację zadań kampanii bohater - zadań związanych ze zdobywaniem imienia Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Chcielibyśmy nawiązać kontakt z drużynami, szczepami, hufcami noszącymi imię bohaterskiego poety - żołnierza, jak również z jego towarzyszami.

Prosimy o korespondencje pod adresem: Szczep Harcerski przy Zbiorczej Szkole Gminnej ul.Polna 1 89-190 BARCIN

Rada Drużyny

*

Piszę w imieniu CAS-owskiego Kręgu Instruktorskiego „ZADRUGA" działającego przy Wydziale Harcerskim Komendy Chorągwi ZHP w Opolu. Jesteśmy w trakcie realizacji zadań kampanii - bohater. Zdobywamy imię Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i za pośrednictwem redakcji chcielibyśmy nawiązać kontakt z drużynami, kręgami, szczepami imienia K.K. Baczyńskiego. Listy prosimy kierować pod adresem:

Lidia Olszewska
ul. Aleja Wolności 14/5
49-100 Niemodlin

JAK W TAJEMNICZYM PAŁACU

Najpierw podeszłam do króla i królowej. Złożyłam im pełen czci ukłon i rozpoczęłam pogawędkę... Już po chwili znałam cały królewski orszak. Dwór króla pozostawał jednak niemy, jakby przeszła tędy jakaś niedobra wróżka i rzuciwszy czar zaklęła pałac razem z jego mieszkańcami: Konie rwą się do biegu, rozdęte chrapy pokazują, że w jednej chwili coś je zatrzymało. Niektórzy rycerze mają otwarte usta, jakby coś mówili i przerwano im wpół słowa, a ręce wsparte na tarczach są zaciśnięte w jakimś uniesieniu...

Każda postać ma po 1-1,5 m wysokości. Są jasne i ciemne jak to normalnie w szachach. Bo to są szachy. Przechodząc obok nich czułam wyraźnie magiczne ich oddziaływanie, jakby coś tchnęło życie w kilkadziesiąt postaci z drewna.

Przechodziłam kolejno obok wszystkich figur i z każdą ucięłam sobie krótką pogawędkę. Jednym poprawiłam nieruchome, drewniane czapki, innym chowałam niesforny kosmyk włosów wymykający się spod kaptura.

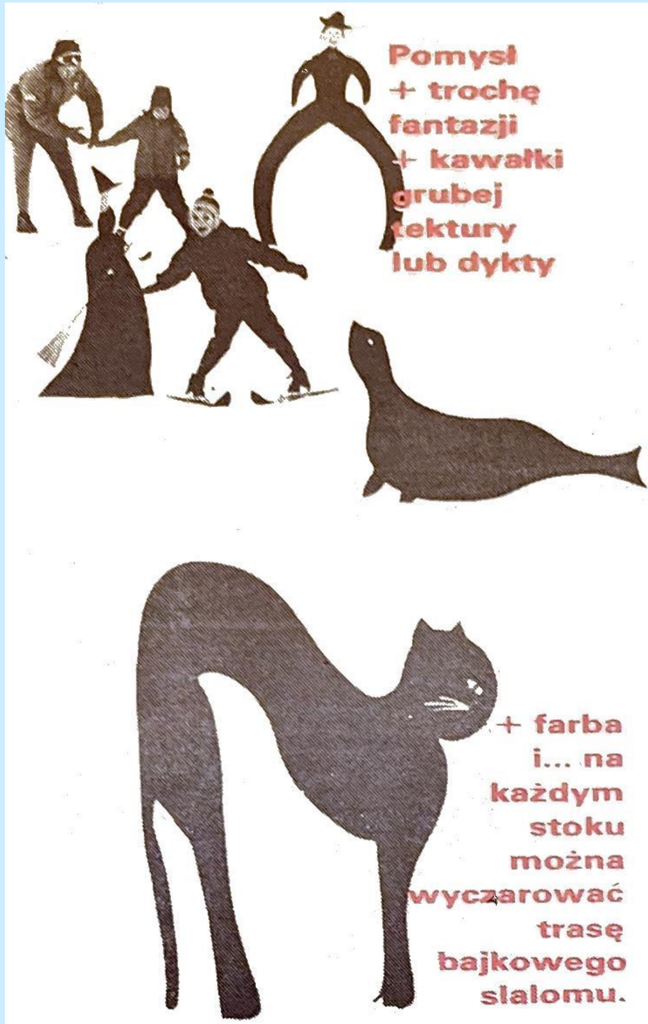
Błądząc wśród labiryntu korytarzy szkoły czułam się jak w.starym zamczysku; otaczały mnie obrazy, rzeźby z witającą w holu boginią Wenus na czele. Gdyby nie rury centralnego ogrzewania, jeszcze trochę, a uwierzyłabym, że te wspaniałości w rodzaju ogromnych gobelinów na ścianach czy rysunków, pochodzą z jakiegoś tajemniczego pałacu, w którym znalazłam się dziwnym zbiegiem okoliczności. Państwowe Liceum Sztuk Pięknych w Kielcach jest właśnie takie dzięki swym uczniom. Przecież to ich ręce, kierowane uwagami znakomitych, doświadczonych nauczycieli, stworzyły te piękne przedmioty. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tu, w tej szkole żyje jakiś mag, niewidzialny stwór, który na rzeźby, gobeliny, obrazy rzuca czar. Który sprawia, że liście drzew na gobelinie delikatnie drgają, jakby poruszane wiatrem, a rzeźba zamyślonego skrzata ma wyraźnie frasobliwą twarz, jakby dumał o sprawach ważnych i trudnych.

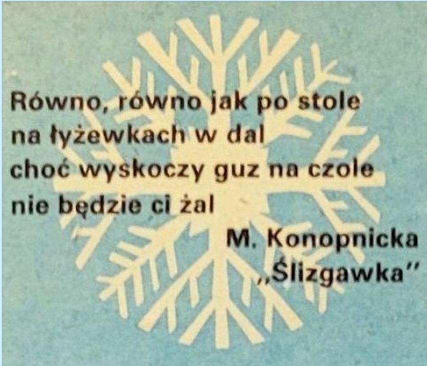
A sami uczniowie? Ci są zadowoleni ze swego wyboru, wręcz dumni,. że uczęszczają do takiej właśnie szkoły. Chociaż... W „Przedświcie" — ich szkolnej gazecie - wyczytałam *„... ilu jest jeszcze takich, którzy dobrowolnie, z radością i niemalże euforią chwytają za pędzle i malują? - nie dlatego, że muszą, ale dlatego, że chcą. Urastają wtedy do rangi tytanów pracy. Zupełnie to zrozumiałe. „Plastyk" stał się pustynią z nielicznymi oazami..."* Czyli nie wszystko jest takie słodkie, jakby się postronnym wydawało.



Wystawa prac dyplomowych uczniów PLSP w Biurze Wystaw Artystycznych w Kielcach

Aleksandra Pawlikowska
Koszalin
korespondentka HSI „ŚM"





Na traperskiej ścieżce (2)

BUTY, GETRY I INNE



Ciepłe i suche nogi - to podstawa zimowego traperowania. Na rys. A przedstawiam najpraktyczniejszy - moim zdaniem - w dzisiejszych czasach sposób obuwania nogi i zabezpieczania jej przed zimnem. Buty - to ocieplane pionierki na wysokiej karbowanej podeszwie. Dalej - długa (przynajmniej pod, a najlepiej za kolana) skarpeta wełniana z pewnym, ale niezbyt mocnym ściągaczem. Na skarpetę, pod kolano, opuszczona i spięta nogawka „pumpek'' czyli skróconych spodni. Aby nie zagmatwać rys. A, pewien bardzo ważny szczegół „nożnej garderoby'' zimowej przeniosłem na rys. B. Otóż niezależnie od tego, czy idziemy na wycieczkę traperską ścieżką piechotą, na nartach czy nawet na rakietach-śniegostępach - radzę założyć getry, jakie jak przedstawiłem na nodze narciarza na rys. B. Można je bez trudu zrobić np. ze starej nogawki zniszczonych dżinsów, obrębiając dół i górę. U góry wciągnąć gumę, od dołu przyszyć „strzemię" z paska materiału, które będzie przytrzymywać getry u dołu buta. Getry mogą być - oczywiście - dłuższe, ale radzę używać na nie jak najmniej przemiękający materiał.

Na rys. C pokazuję, jak umocować wiązanie do kija, nie tylko zresztą narciarskiego i jak umieścić w nim dłoń. Zwykłymi kijami z takimi wiązaniami można sobie doskonale pomagać podpierając się przy pokonywaniu przestrzeni pokrytych grubym, kopnym śniegiem — pieszo lub na rakietach.

I jeszcze jedno: sposoby na impregnowanie obuwia; prosi, mnie o nie wielu moich Czytelników.

Sposób pierwszy: 50 gramów parafiny (w stanie płynnym), półtorej łyżki stołowej oleju lnianego, prawie pełną łyżkę stołową terpentyny — wszystkie trzy składniki starannie wymieszać i smarować tym dokładnie całą skórę butów—wierzchy, cholewki, języki. Po wyschnięciu cholewki natrzeć jeszcze dodatkowo olejem lnianym, a szwy przeciągnąć pędzelkiem umoczonym w tym oleju.

Sposób drugi: w garnku z gorącą wodą zanurzyć do połowy blaszankę, w której znajdują się trzy wagowo równe części: żółtego wosku, niesolonego smalcu i miodu. Po zupełnym rozpuszczeniu i wymieszaniu składników dodać tyle terpentyny, by powstała rzadka pasta, której używać jak w sposobie pierwszym.

Ciepłych i suchych stóp życzy Wam

WAGABUNDA

TRZYMAJ SIĘ ŚNIEGU!...

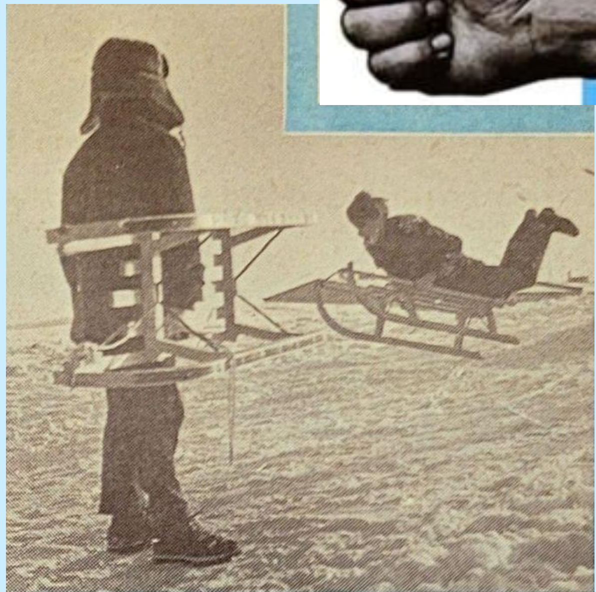
Saneczkowy tor przeszkód. Śniegu mamy wszędzie pod dostatkiem, górek (mniejszych albo większych) także. A zatem zapraszamy na saneczkowy tor przeszkód, który jest jednocześnie wielobojem. Wyłońcie mistrza saneczkowych ślizgów! Wielobój rozgrywamy oddzielnie w kategorii dziewcząt i chłopców.

ZADANIE 1. Uczestnicy zabawy zjeżdżają na sankach w dowolny sposób i starają się (bez odpychania) pokonać jak największą odległość. Wygrywa ten, kto zjedzie najdalej. **ZADANIE 2.** Na stoku ustawiamy kilka patyków (jeden za drugim, co 4 m). Każdy z rywalizujących wykonuje slalom na sankach. Kto uzyska najkrótszy czas przejazdu - zwycięża. Za przewrócenie jednego patyka dodajemy 1 sek. **ZADANIE 3.** Budujemy ze śniegu małą skocznię. Zwycięża ten, komu uda się wykonać najdłuższy skok. **ZADANI! 4.** Podczas zjazdu należy trafić do celu (w bałwana, w drzewo itp.). Każdy z uczestników wieloboju ma do dyspozycji 3 śnieżki, którymi stara się celnie rzucić (z ustalonej wcześniej odległości). Za każdy celny rzut - 3 pkt. Przy jednakowej liczbie trafień zarządzamy dogrywkę, aż do wyłonienia zwycięzcy oraz zdobywców następnych lokat.

Za poszczególne, lokaty w każdej konkurencji (zadaniu) przyznajemy odpowiednią liczbę punktów: I m - 6 pkt., II — 5, III —4, IV-3 V – 2 i VI m. - 1 pkt. Sumy punktów uzyskane przez startujących pozwolą wyłonić lidera wieloboju. Podobną rywalizację można przeprowadzić w klasyfikacji zespołowej. Poszczególne zadania możemy też traktować jako oddzielną zabawę. **(zp)**

Fot. **J.Dąbrowski**





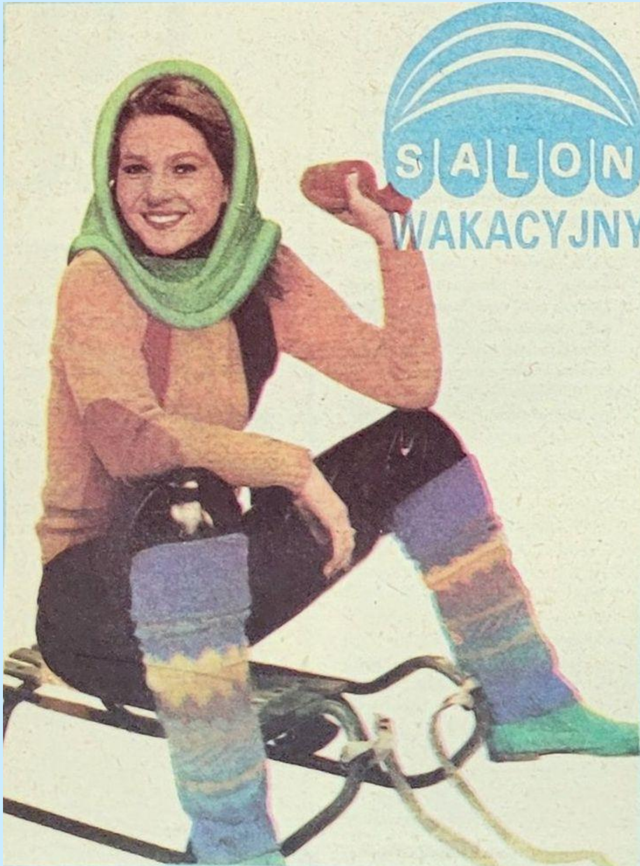
Latołaszek zimą

Wszystkie wierne (niewierne zresztą też) klientki naszego, zamkniętego przez niewakacyjną część roku na cztery spusty salonu Latołaszek, zapraszamy na dwa pokazy zimowe. Kierownictwo Latołaszka uznało, że choć nazwa salonu brzmi idiotycznie w środku zimy, to jednak nie należy jej zmieniać na Zimołaszek, bo po pierwsze trzeba hołubić tradycje, a po drugie zimą nie nosi się żadnych byle łaszków, ale wielkie, cieple i przytulne opatuliszcza.

Na to, żeby sporządzić takie opatuliszcze chroniące przed zimnem całą postać nie stać nas dosłownie (bo skąd wziąć pieniędzy ną tyle materiału) i w przenośni (perfekcji jeszcze brakuje nam, dziewczyny). Chyba żeby opatuliszczem był sweter przerobiony z wszelkich znalezionych w domu przymałych swetrowych staroci. Salon proponuje zająć się opatulaniem głowy, szyi i nóg. Niech będzie ciepło, modnie i wygodnie.

Komin, czyli golf żyrafy

Druga nazwa najtrafniej wyraża istotę tego przyodziewku. Długaśna dziana rura (minimum pół metra), którą wciąga się na szyję, wystawiając twarz z jednego jej końca. Obwód komina powinien mieć ponad 60 cm,czyli niewiele mniej niż talii. Trzeba zmierzyć obwód twarzy. Chodzi o to, żeby się w otworze swobodnie mieściła.



Przyodziewek ten jest mało dopasowany. Ogromnie fałdziasty. To wszystko, czego jest za dużo, upychamy na szyi pod brodą w fałdy - obwarzanki. Golf żyrafy nie ma ściągaczy - luźno więc układa się wokół twarzy. Może się brzegiem zwijać w rulonik.

Najlepiej jest zrobić go na pięciu drutach, zwykłym ściegiem pończoszniczym. Nie będzie miał wtedy szwu i nic nie będzie przeszkadzało w swobodnym fałdowaniu.

Dziewczyny - to jest szansa l Każda łamaga potrafi coś takiego wydziergać.

Druga propozycja, to getry oczywiście, które ciągle utrzymują się na arenie mody, czyli... na nogach. Nic nowego, ale ciągle jeszcze warte, posiadania. Dziś lansujemy ich wersję przedłużoną - od kostek aż po pupę. Wraz z grubymi bardzo rajstopami i grubym, długim do pół uda swetrem są znakomitym strojem na zimowisku po nartach, sankach i Innych terenowych zajęciach. Z powodzeniem mogą zastąpić zapasową parę spodni.

Można je robić na pięciu drutach, ale i na dwóch, bo łatwiej - kłębki się tak nie plączą. Oba końce getrów są ściągaczowe, reszta robiona ściegiem pończoszniczym. Mogą być w paski lub wzorki. Im bardziej wzorzyste, tym... oszczędniejsze. Nadają się do ich zrobienia dosłownie wszystkie wełniane resztki. Nawet wtedy, jeśli wełna nie jest tej samej grubości można łączyć dwie albo i trzy nitki cieńszej włóczki dopasowując ją w ten sposób do grubszej. Szew nosimy po wewnętrznej stronie no-_ gi. Oczywiście getry w kostce muszą byćwęższe niż w udzie. Trzeba się zmierzyć i policzyć z jaką liczbą oczek startujemy do dzieła, z jaką je kończymy i o ile centymetrów będziemy dodawać oczka poszerzając obwód getrów.

Ciepłego chodzenia!

ŁATKA

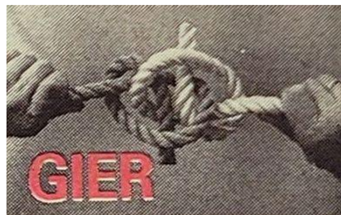
„PAN TADEUSZ" do wygrania!

Jeśli odpowiesz na cztery pytania - weźmiesz udział w losowaniu.

Dzisiaj pytanie drugie (pierwsze było we wtorek, następne będą w kolejnych numerach „ŚM"). Odpowiedzi-na cztery pytania (razem!) na kartce pocztowej wysyłamy ostatniego dnia ferii.

Pytanie drugie: Najznakomitszy muzyk-amator, ten który uświetnił zaręczyny Zosi i Tadeusza - czym się zajmował na co dzień?

AKADEMIA



Witam Was. Cały wczorajszy ranek spędziłem w swojej pracowni budując dwudziesty trzed z kolei ufolot. W pewnej chwiii usłyszałem tupot, trzask i wysadzając drzwi z zawiasów wpadł do środka docent Modellini. „Mam pecha do kwadratu!" - zawołał. Istotnie, Modellini byt wyjątkowo pechowym jegomościem. Jego „współczynnik pecha" obliczony na skonstruowanym przez Kawawatę przyrządzie zwanym fiaskomierzem, wynosi 0,99. Znaczy to, że na 100 rzeczy, do których zabiera się docent Modellini, 99 kończy się niepowodzeniem. A tu jeszcze „**pech do... kwadratu**"!!

Nie powinieneś w ogóle wychodzić z domu - powiedziałem. „Źle mnie zrozumiałeś, przyjacielu! - odrzekł. - Przydarzył mi się szczególny rodzaj pecha. Pech do kwadratu! Oj, jak ja nie cierpię kwadratów!!!"

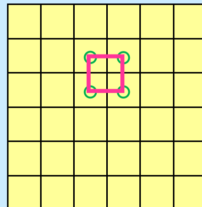
Okazało się, że Kawawata zaprosił Modelliniego na partyjkę wymyślonej przez siebie gry. Stary pechowiec przyjął zaproszenie i to był właśnie... błąd. W grze Kawawaty przegrywa ten, kto zbuduje na planszy kwadrat. Modellini przegrał wszystkie partie.

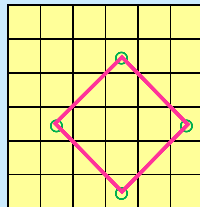
A oto i Zasady gry w **PECHA DO KWADRATU**:

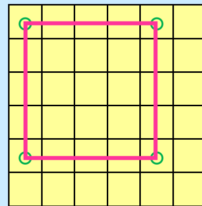
1. Planszą do gry jest kwadrat o 36 polach (6x6).
2. Bawią się dwie osoby. Pierwsza rysuje kółko w dowolnym polu, druga - krzyżyk w innym wolnym kwadracie, i znowu pierwszy gracz stawia kółko itd.'
3. Przegrywa ten gracz, którego znaki utworzą wierzchołki kwadratu.

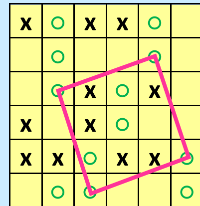
To jest bardzo ważna reguła i trzeba ją dobrze zrozumieć. Na rysunkach 1, 2, 3 pokazuję kilka układów kółek, które są wierzchołkami kwadratów. Takie kwadraty mogą mieć rozmaite wymiary i mogą być ustawione pod różnymi kątami. Rysunek 4 przedstawia zakończoną partię gry. Przegrał gracz rysujący kółka.

Powodzenia do... kwadratu! - życzy Wasz profesor **Watolini**


RYS.1


RYS.2


RYS.3


RYS.4

SKRZYDLATA WOJNA (2)

Z asem lotnictwa płk. EDWARDEM CHROMYM rozmawia Wiesława Mroczek

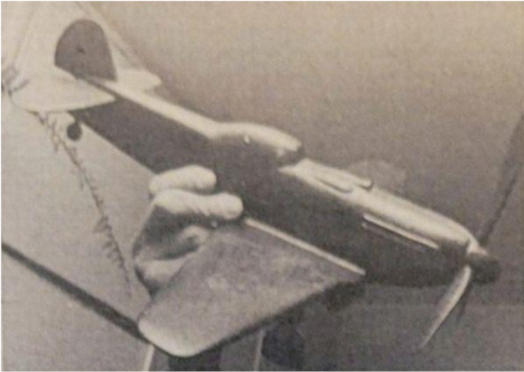
W lutym 1 Armia Wojska Polskiego toczyła boje atakując silne umocnienia hitlerowskie zwane Wałem Pomorskim. 14 lutego pułk lotnictwa myśliwskiego poniósł ciężką stratę. W czasie ataku na stanowiska artylerii przeciwlotniczej zginął nad Piłą zastępca dowódcy pułku do spraw strzelania - kapitan Aleksander Matwiejew.

PODNIEBNE TERENOZNAWSTWO

- Po śmierci Matwiejewa latałem przeważnie w parze z porucznikiem Wiktorem Kalinowskim, jednym z najlepszych pilotów w naszym pułku. Chociaż wykonywaliśmy zadania zbliżone do poprzednich, loty nad terenem pomorskim byty dużo trudniejsze - wyjaśnia pułkownik Edward Chromy. - Poprzednio mieliśmy pod skrzydłami równinę mazowiecką. Tu teren był urozmaicony przez liczne wzniesienia, pokryty lasami, poprzecinany gęstą siecią linii kolejowych i szos. Małe miasteczka niewiele się różniły od wsi. Liczne jeziora i rzeki, zimą zamarznięte i pokryte śniegiem, nie ułatwiały orientacji. No i warunki meteorologiczne zupełnie inne. W styczniu i lutym mgły utrudniające widzialność, a niski pułap chmur czynił loty jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Toteż niejednokrotnie zdarzało się pilotom stracić orientację i lądować na innych lotniskach. Taka przygoda przydarzyła się i naszej dwójce.

Był 16 lutego. Widzialność zła. Niskie chmury. Wystartowaliśmy z lotniska w Bydgoszczy o 10.00. Kierunek: Szczecin i Chojnice. Naszym zadaniem było rozpoznać ważne węzły drogowo-kolejowe w tych miejscowościach i sprawdzić co się tam dzieje. Minęliśmy Chojnice leżące wówczas na linii frontu. Jesteśmy już nad Człuchowem, w którym siedzą Niemcy. W mieście koncentracja wojsk. Stacja kolejowa załadowana transportami. Na trasie do Szczecinka również napotykamy liczne transporty, a w mijanych wioskach zgromadzone masy wojska. Szczecinek od wojskowych transportów dosłownie pęka w szwach. Oczywiście ostrzeliwuje nas przeciwlotnicza artyleria, na szczęście nieskutecznie. Nad Szczecinkiem skręcamy na południe. Ciągle lecimy na tyłach Niemców. Teren pod nami pagórkowaty. Podstawa chmur obniża się. Toną w nich wierzchołki wyższych wzniesień. Niejednokrotnie, żeby uniknąć zderzenia, musimy wchodzić w chmury i lecieć na ślepo. Po dłuższej zabawie w „chowanego" rozjaśnia się. Pod nami równina. Ale nie wiemy, gdzie się znajdujemy. Będąc chłopcem, należałem do harcerstwa, jeździłem na obozy, ćwiczyłem orientację w terenie. Jestem pewny, że powinniśmy lecieć na wschód. Kalinowski, że na południe. Dyskutujemy na migi lecąc dosłownie „skrzydło w skrzydło". Jednomyślni jesteśmy co do tego, że na lotnisku, gdzie przecież prowadzony jest nasłuch, nie powinni się dowiedzieć, żeśmy zabłądzili, bo to dla pilotów nie honor. Dialog trwa. To jeden, to drugi z nas puka palcem w czoło, dowodząc w ten sposób wyższości swoich racji. Jesteśmy już dwie godziny w powietrzu, a zbiorniki Jaków mają zapas paliwa na dwie i pół...

Wybawienie nadchodzi w postaci radzieckich Jaków lecących na południowy zachód. Lecimy więc tuż za nimi, by po kilkunastu minutach wylądować na... wschodnim przedmieściu Poznania. Po zjedzeniu obiadu, zaopatrzeni w paliwo, wracamy do Bydgoszczy.



▲ *Jedną z wielu pamiątek lotniczych pułkownika Chromego jest model Jelce-9, wykonany z mahoniu w 1948 roku przez ppor. Grabowskiego - szefa warsztatów lotniczych w Krakowie i wręczony panu pułkownikowi w rocznicę zakończenia wojny*



Statuetkę Ikara otrzymał pułkownik w uznaniu zasług dla polskiego lotnictwa, od dowódcy wojsk Obrony Powietrznej Kraju, z okazji święta lotnictwa w 1978 roku ►



Unikalne zdjęcie wykonane na lotnisku w Mirosławcu. Przy samolocie Jak-9 piloci w gotowości nr 2. To znaczy, że za dwie minuty na sygnał czerwonej rakiety znajdą się w powietrzu. Z lewej - Edward Chromy, z prawej Władysław Suszek.

ATAKUJEMY!

W wyniku myśliwskich zwiadów, bombowce niszczą stacje kolejowe i wojskowe transporty. Siedemnastego lutego dwadzieścia szturmowców bombardowało stację kolejową Biały Bór, na której trwał wyładunek hitlerowskich wojsk.



Na historycznym zdjęciu, harcerze z 2 drużyny w Pińsku. W środku druh Edek Chromy

- W tym samym dniu o piętnastej wystartowaliśmy z Kalinowskim z zadaniem sprawdzenia skutków bombardowania tej stacji. Po raz pierwszy lecieliśmy na Jakach-9. Samoloty te, od Jaków-1, na których lataliśmy do tej pory, różnią się większą szybkością i uzbrojeniem składającym się z dwóch karabinów maszynowych kalibru 12,7 milimetra I 37-milimetrowym działkiem. Owo działko to była dla myśliwca dosłownie ciężka artyleria. Biały Bór znajduje się na północ od Szczecinka, na linii kolejowej do Miastka. Miejsce, gdzie powinna znajdować się nasza docelowa stacja, zaznaczone było słupem ognia. Rozbite transporty, unieruchomione czołgi, powywracane wagony kolejowe stanowiły dokument działania naszych szturowców. Znad Białego Boru kierujemy się na południe. Nad leśnym obszarem ciągnie się długa smuga dymu. To pociąg złożony z cystern. Jeśli są puste - poprzestaniemy na ostrzelaniu lokomotywy. Zmniejszona wysokość i biorę na celownik jedną z cystern. Naciskam spust. W tej samej sekundzie widok przesłania mi słup ognia i dymu. Ponawiamy atak. W dole rozlewa się jedno morze ognia. Nasze działka są niezawodne.

MUSIMY SPRAWIĆ IM ŁAŹNIĘ...

W ostatnich dniach lutego Niemcy posiadali na Pomorzu znaczne siły, których zadaniem było uderzenie na skrzydło wojsk radzieckich nacierających w kierunku Berlina. Zniszczenia zgrupowania tych sił dokonać miały wojska 1 i 2 Frontów Białoruskich

1 Armii Wojska Polskiego, działającej na prawym skrzydle wojsk 1 Frontu Białoruskiego, powierzono przełamanie 1 marca pozycji ryglowej na odcinku Będlino-Łowlcz Wałecki, opanowanie rubieży Wierzchowo—Lubiszewo, oraz południowo-wschodniego skraju jeziora Lubie.

- Po śniadaniu, które zjedliśmy w dniu 1 marca o świcie, udaliśmy się na stanowisko dowodzenia - wspomina mój roz mówca. - Pułkownik Tałdykin poinformował nas. że w tej chwili rusza natarcie Pierwszej Armii Wojska Polskiego i że mamy wesprzeć to natarcie likwidując hitlerowskie lotnisko znajdujące się na zachód od Mirosławca. „Musimy Niemcom sprawić taką łaźnię, żeby odechciało im się wystawiać nosa"... zaznaczył.

Pierwsze wystartowały obładowane bombami Iły. Tuż za nimi nasze Jaki. Za Wałczem skręciliśmy na południe. Szerokim łukiem okrążyliśmy Mirosławiec, żeby zaatakować od zachodu, skąd Niemcy z całą pewnością nie spodziewali się „gości". Szturmowce szły już niemal lotem koszącym, my niewiele wyżej, kiedy wyskoczyło przed nami równe, ośnieżone pole przecięte drogami, kilka bloków i duży budynek - hangar. Iły wchodzą do akcji. Ładują swoje pociski prosto w stojące na ziemi samoloty. Jeden ze szturmowców kieruje bombę w hangar. Dookoła mego Jaka fruwają kawałki konstrukcji. Skręcam i wpadam w gęsty grzyb dymu powstały nad płonącymi cysternami z benzyną. Iły niszczą z furią wszystko, co się znajduje w dole. Stanowimy osłonę, więc latamy nad nimi obserwując niebo i ziemię. Ale oto ocknęła się przeciwlotnicza artyleria. Uciszenie jej przypada w udziale Kalinowskiemu i mnie. Tymczasem na płycie lotniska kilka samolotów usiłuje oderwać się od ziemi. O nie, nie uszły nam. Życzenie dowódcy pułku potraktowaliśmy dosłownie.

W tym samym dniu oprócz grupy bombardującej lotnisko w Mirosławcu działało jednocześnie jeszcze osiem grup, które przeważnie atakowały cele znajdujące się na przedpolu 1 Armii. W tym pierwszym dniu natarcia dywizje piechoty przełamały gniazda oporu wroga na szerokim froncie. A przez następne dwa dni 1 Armia Wojska Polskiego i jej sąsiedzi - 2 korpus kawalerii oraz 3 armia uderzeniowa - złamały ostatecznie opór wroga i przeszły do pościgu. Niemcy podobnie jak po operacji warszawskiej usiłowali dokonać odskoku by zreorganizować się i przyjąć nową bitwę.

(dokończenie w następnym numerze)



Na Scenie Prezentacji







1. Właśnie druh oboźny odbębnił pobudkę... 2. Bardzo Ważna Wizyta Bardzo Ważnej Osobistości. 3. W tym królestwie wszystko było okrągłe... 4. ...a w tym trójkątne...

Coś tam w lesie chrupnęło, coś na scenie rupnęło...

Co to chrupnęło? Oczywiście „Chruptaki" - szczep harcerski (składający się z 3 drużyn zuchowych, 2 harcerskich oraz kręgu instruktorskiego), działający przy Pałacu Kultury w Poznaniu. Jak powiedział mi dh Jacek Korzeniowski, zastępca komendanta Chorągwi Poznańskiej - jeden z założycieli i kierowników zespołu, „Chruptaki" istnieją już 10 lat i obchodzą swój mały jubileusz, bowiem przedstawienie, z którym przyjechali do Warszawy jest dziesiąte z kolei. Nie biorą udziału w żadnych konkursach i festiwalach, Śpiewają, tańczą i recytują nie dla nagród, czy wyróżnień, lecz dla własnej satysfakcji i przyjemności. Swojej i innych. Robią to zresztą doskonale i z wdziękiem.

„Chruptakiem" może zostać każdy, kto chce i wykaże się poczuciem rytmu i jakim takim słuchem. Nie tylko ci najlepsi mogą tańczyć i śpiewać, bywało, że z tych, którym „słoń nadepnął na ucho" wyrastali nieźli aktorzy, a pobyt w zespole dodał im pewności siebie i przekonania, że nie są gorsi od swych kolegów. Nie trzeba być również od razu harcerzem. Dh Jacek twierdzi, że właściwa droga wiedzie poprzez zespół do harcerstwa, a nie odwrotnie...

Inscenizacja „Coś tam w lesie chrupnęło", pokazana przez poznaniaków, była dla wszystkich harcerzy czterdziestoma pięcioma minutami tęsknego westchnienia za latem, obozem; obozową przyjaźnią. Dla tych, którzy harcerzami nigdy nie byli - tyloma minutami zazdrości. Przeżyliśmy bowiem wraz z „Chruptakami" jedną rozśpiewaną dobę na letnim obozie. Było wszystko, począwszy od pobudki odbębnionej przez srogiego oboźnego, poprzez gimnastykę, zajęcia terenowe, aż do obowiązkowego ogniska wieczornego. Nie zabrakło również nocnej atrakcji każdego obozu - alarmu, a co za tym idzie gorączkowego szukania butów, munduru, plecaka. Była również wzniecająca lekki popłoch wizytacja „ważnych osób", ot, po prostu zwykły obozowy dzień, tu rozśpiewany i skrzący się wesołością.

Rupaki - znacie je na pewno. To przecież puchate zwierzątka „senne". Ukazują się tylko dzieciom, nigdy dorosłym, i opowiadają przepiękne bajki na dobranoc. O jednym królu, co wszystko w królestwie miał trójkątne, i o innym, co uznawał tylko okrągłe...

Dwudziestoosobową harcerską drużynę artystyczną „Gałganek" z Luboszy prowadzą dh Maria Bardon i dh Ewa Sitarz. Młodsi artystycznym stażem od zespołu z Poznania (działają bowiem dopiero od czterech lat), zdobyli już spore uznanie harcerskiej publiczności. I nie tylko to wyrażane gromkimi oklaskami na występach, ale również laury w postaci cenionej „Złotej Jodły" na Harcerskim Festiwalu Kultury Szkolnej w 1982 roku w Kielcach. Oni również obchodzą swój mały jubileusz - „Rupaki" są bowiem po „Wierszach o Warszawie" - T. Kubiaka, „Karuzeli" - T. Kubiaka i „Bombie Trąbie" - W. Chotomskiej, już czwartym przedstawieniem prezentowanym przez „Gałganka". W przygotowaniu mają nowy spektakl, będzie to obraz świata dorosłych, widziany ich oczyma. Więcej powiedzieć nie mogę, musicie zobaczyć to sami. Może w Luboszy, a może znów w Warszawie?

Ostatni spektakl Sceny Prezentacji był udany, ale... Właśnie jest jedno małe „ale". Wydaje mi się, że organizatorzy powinni na przyszłość lepiej zadbać o widownię. Ci z Was, którzy występowali kiedykolwiek przed publicznością, wiedzą jak przykro jest grać przed pustawą salą. Może winna była zła reklama, nie wiem. Również wiek widzów nie był dostosowany dp repertuaru. Dla uczniów I i II klasy szkoły podstawowej przedstawienie „Chruptaków" było zbyt trudne i stąd zapewne wzięło się ich hałaśliwe zachowanie, oraz pytanie które w trakcie przedstawienia usłyszałam od jednego z widzów: *„Proszę pani, kiedy pójdziemy do do domu?"...* .

MAGDALENA SZTUKA
Fot. **Jacek Łopuszyński**

Pożar na biegunie zimna (2)

WIĘŹNIOWIE LODOWEJ PUSTYNI

W nocy z 12 na 13 kwietnia 1982 roku na radzieckiej stacji polarnej WOSTOK wybuchł pożar. Wyjątkowo suche, mroźne powietrze sprzyja błyskawicznemu rozprzestrzenianiu się ognia. W płomieniach ginie szef ekipy elektryków. Jedynie dzięki tężejącemu mrozowi — temperatura sięga minus 70 stopni Celsjusza — pożar udaje się jakoś ugasić. Spłonęły jednak silniki Diesla napędzające prądnicę elektrowni, bez której życie w tym miejscu kuli ziemskiej jest nie do pomyślenia...

Można sobie wyobrazić sytuację dwudziestu ludzi przy zgliszczach elektrowni, znajdujących się w sercu lodowego kontynentu na progu czteromiesięcznej nocy polarnej. W ciągu godziny cały zapas żywności i lekarstw zamienił się w bryłę lodu. Potem mróz zaatakował ludzi. A przez oniemiałą z braku prądu radiostację nie można było nawet przesłać wiadomości o pożarze.

Geofizyk Borys Moisiejew pierwszy otrząsnął się z szoku. Przypomniał sobie nagle, że obok urządzeń wiertniczych leżał nie używany od dawna zapasowy mały diesel. Należało sprawdzić w jakim jest stanie i uruchomić go. Następną, nie cierpiącą zwłoki sprawą, było zabezpieczenie przed mrozem radiostacji. W przeciwnym razie jej uruchomienie mogłoby spowodować uszkodzenie wrażliwych na różnicę temperatur obwodów elektrycznych.

Po pewnym czasie w pobliżu domku wiertaczy, gdzie pracował już mały silnik Diesla napędzający prądnicę nowego, dokonano nowego, cennego odkrycia. Znaleziono nigdy dotąd nie używany piecyk-kroplówkę. (nazwa wzięła się stąd, że paliwo skapywało do niego cienką rurką). W bezgranicznym królestwie zimna zapłonęło malutkie ognisko! Do ogrzanego wątłym płomykiem pomieszczenia zaczęto pospiesznie znosić wrażliwe na działanie mrozu urządzenia. Ludzie otoczyli piecyk szczelnym kręgiem. Nareszcie można się było nieco ogrzać.

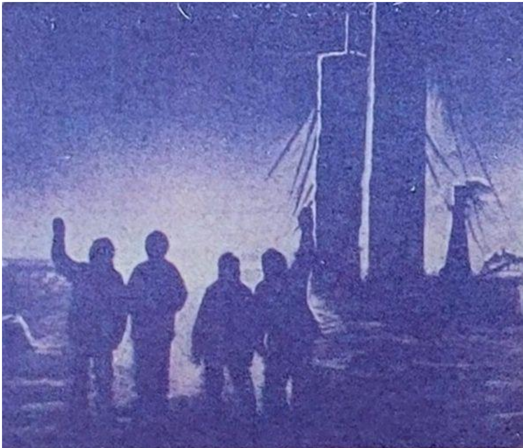
Gdy w oznaczonym czasie „Wostok" nie nawiązał łączności, radiostacje przybrzeżne rozpoczęły nieprzerwany nasłuch. Krótki meldunek o pożarze odebrano jednak dopiero następnego dnia. Godzinę później popłynęło w eter zapytanie: *„Czy mamy zastosować środki nadzwyczajne?"* Oznaczało to, że baza przybrzeżna proponuje zrzucenie z pokładu samolotu transkontynentalnego urządzenia prądotwórczego, lub próbę przebicia się do stacji konwojem ciężkich ciągników na płozach. Ale taki wyczyn nikomu się jeszcze zimą nie udał.

- ***Wysłanie samolotu w obecnych warunkach jest bardzo ryzykowne. Mamy paliwo i żywność. Przezimujemy***- odpowiedział „Wostok". Po chwili dodał:

- ***Mały diesel pracuje niepewnie. Nasze zamilknięcie nie musi oznaczać tragedii...***

Przyszłość dwudziestu osób, nieco już rozpieszczonych warunkami stworzonymi przez współczesną technikę, zależała wyłącznie od ich wytrwałości, sprytu i umiejętności rozwiązywania piętrzących się przed nimi problemów. Teraz, podobnie jak niegdyś pionierzy lodowych szlaków, mogli liczyć wyłącznie na własne siły.

Najważniejszą sprawą było ciepło. Przy „kroplówce" mogła się ogrzać tylko część załogi. Polarnicy zabrali się więc do budowania prowizorycznych pieców, wykorzystując do tego celu puste pojemniki po gazie. Wykonane chałupniczym sposobem agregaty ogrzewcze niesamowicie dymiły, gdyż ze względu na niedostateczną ilość tlenu ropa nie spalała się w nich całkowicie. Płatki sadzy stały się prawdziwą zmorą. Sadza była wszędzie: unosiła się w powietrzu, wciskała do oczu, uszu i najmniejszych szpar w ubraniu. W promieniu kilkudziesięciu metrów wokół stacji śnieg zrobił się czarny. Gdy go topiono, zamiast wody otrzymywano atrament!



23 sierpnia po czteromiesięcznej ciemności Słonce pojawia się na niebie. Spotkanie z nim to święto

Życie gnieździło się wokół pieców. W ich sąsiedztwie znajdowały się worki z żywnością i skrzynie z pościelą. Na piecach gotowano potrawy, topiono śnieg, wypiekano chleb. I czyż można się dziwić, że niektóre plemiona eskimoskie otaczały ogniska bałwochwalczą czcią?

Oprócz ciepła niezbędne było światło. Silniczek dieslowski oszczędzano .dla utrzymania kontaktów radiowych oraz wykonania najniezbędniejszych prac, na przykład spawania. Całodobowa ciemność nocy polarnej, rozpraszana przed pożarem reflektorami, teraz szczelnie otuliła stację. Na szczęście w magazynku geofizyków znajdował się spory zapas parafiny. Przystąpiono więc do wyrabiania świec, używając szpagatu jako knota.

Szczytem rzemieślniczej pomysłowości było zbudowanie łaźni. Składała się ona z piecyka-kroplówki, opróżnionego pojemnika po gazie i pustej beczki. Otrzymywano równocześnie ciepło i wodę z rozpuszczonych brył lodu. Raz na jakiś czas kilka osób mogło wziąć kąpiel i uprać zabrudzoną odzież. Dla umorusanych jak nieboskie stworzenia polarników była to rozkosz, której z niczym nie da się porównać...

Kiedy życie na stacji trochę się unormowało, a niebezpieczeństwo śmierci w kosmicznym mrozie przestało zaglądać w oczy, mieszkańcy bazy przystąpili do kontynuowania prac, które sprowadziły ich w serce Antarktydy. Wznowienie badań przy braku energii elektrycznej nie było jednak sprawą prostą...

Rozpoczęto więc jedynie niektóre prace. Estończyk Wello Park tylko w dniu pożaru opuścił swoje obserwacje i nie przekazał danych do Międzynarodowej Służby Meteorologicznej. Później z kamiennym już spokojem wykonywał codzienne zadania, tak jakby nic się nie wydarzało. Za jego przykładem poszedł magnetolog Michaił Gusiew, uprzednio ogrzawszy swoje urządzenia, aby zaczęły działać.

Bardzo ważną częścią programu „Wostoka" była praca wiertaczy geologów. Jednak pozbawione energii elektrycznej świdry stały bezczynnie w kącie. Więc niezmordowany Moisiejew postanowił odkopać zasypany zwałami śniegu dawny... śmietnik. Jeśli są na świecie cuda, to dokonanie Moisiejewa jest ich najlepszym przykładem. W stercie metalowego złomu wyszperał jakieś stare części i ku zdumieniu kolegów uruchomił jeden generator prądotwórczy spalonej elektrowni!a Grupa wiertaczy mogła więc zabrać się do roboty.

Nieczęsto zdarzały się dni, podczas których nie było co robić. Praca w warunkach wysokogórskich na poziomie 3,5 tysiąca metrów przy potwornym mrozie wymaga trzykrotnie więcej wysiłku niż normalnie. Wieczorem wszyscy padali z nóg ze zmęczenia. Mimo to cała załoga „Wostoka" cierpiała... na bezsenność. Ten dziwny objaw zniknął dopiero po 23 sierpnia, kiedy to na nieboskłonie po długiej przerwie pojawiło się słońce.

Jeśli nie liczyć atrakcji związanych z kąpielą, jedyną rozrywką polarników było... kino.



Przy temperaturze niższej niż minus 50 stopni Celsjusza powietrze przy wydechu trzeszczy, zamieniając się w kryształki lodu. To budzące niepokój zjawisko polarnicy nazwali poetycko... „szelestem gwiazd"

Od dnia kiedy udało się naprawić uszkodzony silnik, Wello Park każdego wieczoru wyświetlał 2 filmy z zapasu 600 taśm, które zgromadzono w ciągu 25 lat istnienia polarnej bazy. Wcześniej, oczywiście, taśmy rozmrażano w bezpiecznej odległości od ognia...

Pod koniec grudnia dotarł do „Wostoka" pierwszy konwój śnieżnych ciągników. Ekspedycja ze stacji „Maładiożnaja" spotkała nieco wychudzonych, ale żwawych polarników. Na cześć gości przemarzniętych 1500-kilometrową podróżą i wychłostanych podmuchami lodowatego wiatru - przygotowano kąpiel i upieczono chleb.

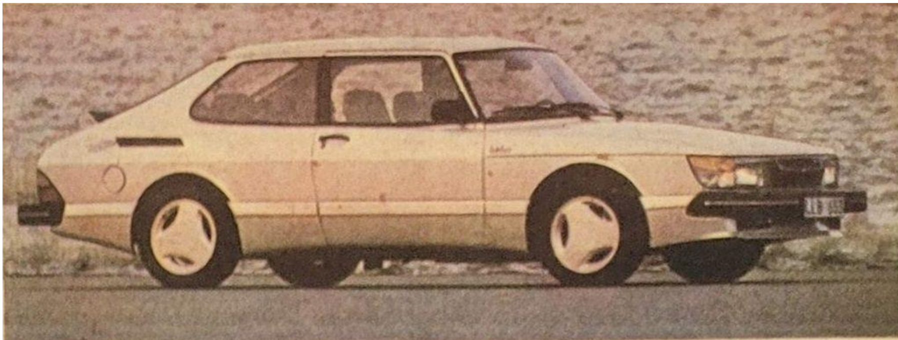
Lekarz stwierdził, że przez całą zimę nie zdarzył się na stacji ani jeden zasługujący na uwagę przypadek załamania psychicznego. Owszem, w ścisku panującym w pomieszczeniach mieszkalnych częściej niż zwykle wybuchały spory i kłótnie, ale szybko udawało się je rozładowywać.

Już sam fakt, że po ponad półrocznym pobycie w tak trudnych warunkach nikt z pracowników stacji nawet nie zachorował, poszerza nieco stan naszej wiedzy na temat granic ludzkich możliwości. Badacze **zrealizowali w tym czasie 80 procent prac zaplanowanych do wykonania w normalnych warunkach. Wszystko wskazuje na to, że dyscyplina, którą sobie narzucili stała się dla nich prawdziwym ratunkiem...**

Oprac. JUSTYN OPARA
wg „Sputnika"



SAAB 900 TURBO 16 AERO



Samochody z tą marką przedstawialiśmy już kilkakrotnie w naszym .kąciku, jednakże dla przypomnienia, zwłaszcza tym, którzy od niedawna interesują się motoryzacją podaję, że SAAB-y produkowane są w Szwecji. Wytwarza je fabryka, której podstawowa działalność związana jest z produkcją samolotów. Samochody z tej wytwórni odznaczają się dobrą jakością i cenione są przez nabywców w różnych krajach Europy jak również i Ameryki.

Prezentowany SAAB 900 TURBO 16 AERO wywodzi się z samochodu powstałego w roku 1967 oznaczonego jako SAAB 99. Pierwsza wersja samochodu SAAB 900 powstała w roku 1978.

SAAB 900 TURBO 16 AERO od swych poprzedników różni się przede wszystkim silnikiem tzw. trzeciej generacji, który nie stanowi zupełnie nowej konstrukcji, lecz jest znacznie udoskonalony. Nowością w nim jest zaopatrzenie każdego z czterech jego cylindrów w cztery zawory, po dwa ssące i dwa wydechowe, tak iż w sumie posiada ich 16. Z tego też względu w określeniu marki samochodu znalazła się cyfra 16. Następną wyróżniającą cechą silnika jest zastosowanie turbodmuchawy do doładowywania powietrzem silnika, w której instalacji zastosowano dodatkową chłodnicę przeznaczoną do chłodzenia tłoczonego powietrza, by większe jego ilości mogły się znaleźć w komorze spalania. Mieszanka paliwowa w tym silniku nie jest wytwarzana w gaźniku, lecz paliwo dostarczane jest poprzez system instalacji wtryskowej. Dzięki tej nowoczesnej, a zarazem i skomplikowanej konstrukcji ten czterocylindrowy silnik o pojemności 1985 cm sześc. uzyskuje bardzo dużą moc wynoszącą 129 kW przy 5300 obr/min.

Silnik w opisywanym SAAB-ie umieszczony jest z przodu, a napęd od niego przekazywany jest na przednie koła.

Drugą cechą, która wyróżnia ten model od pozostałych jest nadwozie. SAAB 900 TURBO 16 AERO posiada trzydrzwiowc nadwozie z nieco skorygowanymi kształtami, wyposażone w parę spoilerów, z których przedni znajduje się pod przednim zderzakiem a tylny za szybą tylnych drzwi. Te zmiany spowodowały obniżenie oporu powietrza o 5% i dlatego to bardziej aerodynamiczne nadwozie znalazło również odzwierciedlenie w marce samochodu w postaci słowa AERO. W sylwetce samochodu wyróżniają się też swym odmiennym kształtem i odlewane ze stopu metali lekkich obręcze kół.

Wnętrze tego samochodu przeznaczone jest dla 5 osób. Do jego seryjnego wyposażenia należą elektrycznie opuszczane szyby okien, elektrycznie przesuwana pokrywa otworu dachu, jak również przednie oparcia siedzeń. Wszystkie zamki drzwi są zamykane centralnie.

Zawieszenie kół jest niezależne. Zarówno przy przednich, jak i tylnych kołach znajdują się hamulce tarczowe. Hamulec pomocniczy zwany często ręcznym lub postojowym działa na przednie koła, w większości innych samochodów na koła tylne.

SAAB 900 TURBO 16 AERO osiąga prędkość maksymalną 210 km/godz., przyspiesza od 0 do 100 km w czasie 8,7 sekundy. Zużycie paliwa przy prędkościach 90 120 km/godz. i w jeździe miejskiej wynosi odpowiednio 7,1 9,3 i 12,4 litra na 100 km.

ZENON DUTKIEWICZ

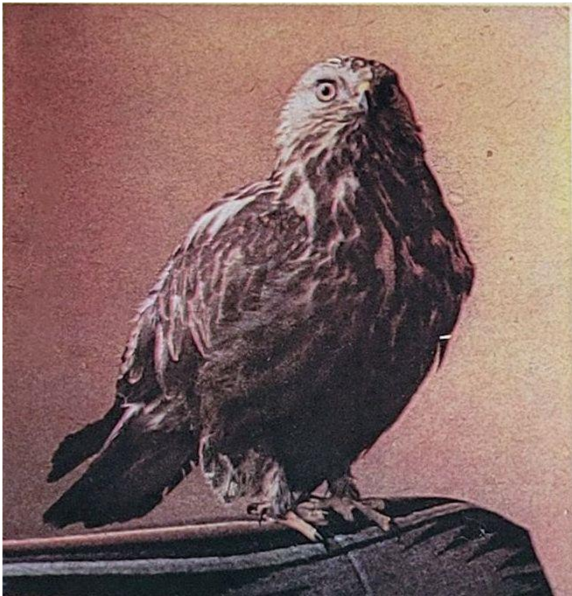
DZIŚ – małe klubowe pranie!

O NIE SPEŁNIONYCH ŻYCZENIACH I ZAWIEDZIONYCH NADZIEJACH

Początek roku, dla klubu zresztą jubileuszowego, a także fakt, że mamy sam środek zimy - to okazja, by dziś zająć się samym klubem i jego sprawami, bo później wiosną, z oczywistych względów nie będzie na to miejsca i czasu.

Dzisiejszy zaś temat podpowiadają, a nawet wręcz narzucają nam sami czytelnicy. Mają oni wszakże do nas różne prośby, które nie zawsze, niestety, jesteśmy w stanie spełnić. Niektórzy też interesują się jak powstają kolejne klubowe odcinki, a zwłaszcza — co dzieje się z nadesłaną korespondencją. Czy aby ten czy ów list nie ląduje w koszu? Zacznijmy więc od tej sprawy.

Otóż każdy list, trafiający na moje biurko, jest oczywiście czytany. Ba, - wcześniej wyglądany! Po dokładnym przeczytaniu na odwrocie koperty stawiam datę jego otrzymania. Później przystępuję do stawiania tam pewnych dla osób z zewnątrz tajemniczych znaków. Jeżeli więc list nie zawiera żadnej treści ornitologicznej, a co najwyżej zapewnienie, że autor interesuje się ptakami i chciałby wstąpić do klubu, stawiam na kopercie znak „X" i... czekam na dalsze listy od tegoż autora. Gdy w liście znajduję sporo ciekawych spostrzeżeń, a zwłaszcza gdy jest to już kolejna wartościowa korespondencja danego autora, stawiam znak oznaczający, że przy najbliższej okazji ów autor zostanie członkiem klubu. Otrzymując zaś list od kogoś, kto już należy do klubu, stawiam znak „□". Czynię to dla porządku, bo aktualnych klubowiczów, stale piszących, zazwyczaj dobrze pamiętam.



Po tym wszystkim następuje streszczenie każdego listu w punktach na odwrocie koperty. No, muszę powiedzieć - nie bez zadowolenia zresztą - iż w przypadku niektórych listów, bogatych w informacje, takie streszczenie sprawia mi kłopot, bo ni rusz nie chce się pomieścić na kopercie. Jeżeli autor wspomina o wykonanych przez siebie skrzynkach lęgowych, pojnikach, dokarmianiu itp., piszę u góry koperty, „pomaga", a listy z tym dopiskiem odkładam osobno. Na ich podstawie powstanie kolejny odcinek rubryki „Pomagajmy ptakom".

Listy najnowsze - np. z ostatniego miesiąca - mam stale przed sobą na biurku i często przeglądam. Pozwala to zorientować się, jakie zagadnienia trzeba będzie w najbliższym czasie poruszyć. Ale listy starsze też nie idą do kosza. Gromadzimy je, układając według lat i pór roku. Do wielu z nich chciałbym nieraz jeszcze sięgnąć - ale... nie staje miejsca, bo wciąż pojawiają się nowi korespondenci i ich wiadomości. Ponieważ klubem zajmuje się w redakcji tylko jedna osoba, mająca wiele innych obowiązków, nie jest możliwe indywidualne odpisywanie na każdy list. Staramy się natomiast jak najwięcej listów cytować, o ile tylko są tego warte. Zacytowanie wszystkich też nie jest możliwe, bo musielibyśmy wtedy chyba dysponować co tydzień całą stroną w gazecie. O tym, które z listów akurat wykorzystamy, nie decyduje kolejność ich nadsyłania, ale to, jaki w najbliższym czasie poruszymy temat. Niemniej - każdy wytrwały korespondent, który nie zniechęca się po jednym liście, ale pisze następne (i dobre!), ma praktycznie stuprocentową szansę, że nie dziś, to jutro będzie cytowany.

Często zwracacie się do nas w listach o pomoc w ratowaniu jakichś przypadkiem znalezionych, nieraz rannych ptaków, pytając: jak je leczyć, jak karmić, co z nimi dalej robić itp. Interweniowanie we wszystkich takich sprawach z osobna przekracza nasze możliwości. Jeżeli ptak rzeczywiście niedomaga czy jest ranny - to nie sposób udzielić żadnej praktycznie rady na odległość. Musi go obejrzeć - i to dokładnie! - specjalista: ornitolog lub weterynarz. Nawet gdybyśmy mogli interweniować listownie, z reguły byłoby już za późno. Nie mamy też możliwości wysyłania za każdym razem w teren eksperta. Klub próbował już interweniować w takich przypadkach; kiedyś, zimą udaliśmy się wraz z ekspertem do mieszkania Waszego rówieśnika, który znalazł osłabionego myszołowa włochatego - tego, którego widzicie na zdjęciu - ptak po pewnym czasie odzyskał siły i wrócił na wolność. Tym, którzy w podobnych okolicznościach ptaki znajdują, radzimy: owszem, piszcie do nas, ale przede wszystkim starajcie się znaleźć na miejscu pomoc weterynarza lub pracowników najbliższego ogrodu zoologicznego. Korzystajcie przy tym z pomocy nauczycieli, opiekunów kół LOP czy swoich rodziców. Temat ratowania ptaków, a także opieki nad nimi w domu niebawem wróci znów na nasze łamy.

Sprawa zdjęć. Niektórzy proszą nas o przesłanie im fotosów do zbioru. Niestety, zdjęć ptaków do wysyłki po prostu nie mamy. Czasem brak nam nawet zdjęć do zilustrowania tekstu - zwłaszcza gdy idzie o jakiś rzadko fotografowany gatunek. Podobnie ma się rzecz z książkami o tematyce ornitor logicznej, o których przysłanie niektórzy korespondenci nas proszą. Owszem, czasem wysyłaliśmy książki, ale tylko jako nagrody dla zwycięzców klubowych konkursów. Nawet i na to nie zawsze możemy sobie pozwolić bo tytuły o tej tematyce pojawiają się na rynku nader rzadko i natychmiast zeń znikają. Wątpliwe np., czy w konkursach, które zamierzamy ogłosić w najbliższym czasie, nagrodami będą mogły stać się książki ornitologiczne.

Często czytam w listach postulat, by częściej przedstawiać różne interesujące gatunki. Nieraz to już robiliśmy nawet na konkretne zamówienie któregoś z korespondentów. Kiedyś też drukowaliśmy cały cykl obszernych artykułów, przedstawiając w każdym z nich jakiś rzadki, zagrożony gatunek. Obfitość korespondencji i potrzeba jej omawiania nie pozwoli nam dziś na drukowanie tak obszernych artykułów. Ale, poza tym, nic nie stoi na przeszkodzie: możemy nadal, tyle że krótko, przedstawiać interesujących Was przedstawicieli naszej ornitofauny. Proponuję, byście do końca lutego zgłaszali propozycje gatunków do zaprezentowania - najlepiej tych mniej znanych. Wybierzemy te, które w listach będą pojawiać się najczęściej, starając się tym samym, by dla jak najmniejszej liczby korespondentów klub nasz był klubem... zawiedzionych nadziei!

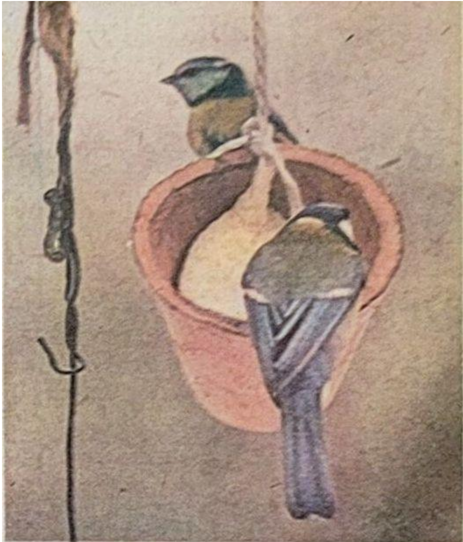
Tekst
i foto
TOMASZ KŁOSOWSKI

ZADANIA NA LUTY

1. W styczniu mamy zimę gwałtowną i ostrą - taką, jakiej dawno nie było. Obserwujcie, jak reagują na nią ptaki, jak przyjmują wszelkie ewentualne kaprysy pogody. Czy zachowanie przedstawicieli zimujących gatunków uległo wyraźnym zmianom? Jakim?

2. Wygląda na to, że mamy „kwiczołową zimę". Gdy piszę te słowa, za redakcyjnym oknem, nad dachami widzę stado złożone z co najmniej kilkudziesięciu tych krzykliwych drozdów. Ptaki co rusz krążą w powietrzu, po chwili zapadają gdzieś za domami, by zaraz znów się porwać do lotu. Są podniecone, niespokojne. Dzieje się to w samym środku miasta, w miejscu, gdzie mury zdecydowanie przeważają nad wątłą zielenią. Obserwujcie pilnie kwiczoły i piszcie o ich zachowaniu i liczebności.

3. Miesiąc temu napisałem: „dokarmianie, dokarmianie i jeszcze raz dokarmianie"- teraz powinienem po prostu powtórzyć to jeszcze po stokroć i z wykrzyknikami. Powody - patrz zadanie nr 1.



▲ *Dokarmiajcie sikory - choćby tak...*

Pomagamy ptakom

● **Witold Ciesielka, ul. Staszowa 9a, 34-460 Szczawnica,** dokarmia ptaki, a przy tym - pilnie obserwuje, czego efektem jest obszerny list o sposobach żerowania przedstawicieli wielu gatunków.

● **Jarosław Durkin, Dąbrowskiego 16c/7,74-200 Pyrzyce,** zbudował 7 karmników i 2 skrzynki lęgowe.

● **Ireneusz Dyś, 76-223 Stowięcino 18, woj. słupskie,** co roku zimą dokarmia ptaki.

● **Piotr Gładysz, ul. Rojna 28 m. 78,81 -134 Łódź i jego kolega Jurek Alencynowicz** zawiadamiają o zawieszeniu wcześniej przygotowanych 2 skrzynek lęgowych.

● **Grzegorz Kaczorowski, Obrońców Westerplatte 11 m. 13, 42-200 Częstochowa,** przygotował na balkonie karmnik i zawiesił plaster słoniny; poza miastem rozwiesił 6 takich plastrów „o *które wprost biją się sikory bogatki i modre*".

● **Bogdan Kaźmierczak, Bucka 1 m. 29,09-450 Płock i jego kolega Piotr Wasilewski** zebrali karmę dla ptaków wróblowatych, wykonali też 3 paśniki, 1 karmnik i 1 skrzynkę lęgową, a także-„choinkę" dla ptaków.

● **Robert Kuryluk, szkoła podstawowa w Motnicy, 21-518 Sosnówka,** woj. bialskopodlaskie, zrobił karmniki, rozwiesił słoninę i patyczki z tłuszczem, a wiosną planuje wykonać skrzynki lęgowe dla szpaków, puszczyków i pustułek.

● **Wojciech Michałowski, osiedle Przy Stadionie, 4, 66-400 Gorzów Wlkp.,** wraz z kolegami dokarmia w parku krzyżówki.

● **Jan Niezgoda, ul. Groń 11, 34-460 Szczawnica,** już w połowie listopada zaczął dokarmianie. Przygotował 2 karmniki i słoninę dla sikor. Zamierza zrobić 2 skrzynki lęgowe dla szpaków,

● **Mirosław Noga, ul. Wesoła 20, 29-112 Kurzelów, woj. kieleckie,** zrobił - co jest godne szczególnej pochwały - 2 czatownie dla ptaków drapieżnych. Jedna - jak pisze - jest wykorzystywana bardziej intensywnie, druga mniej. Pod czatowniami można zebrać wypluwki. Korzystają z tych czatowni: myszołów zwyczajny, włochaty i pustułka. *„Proponuję ptakolubom* - pisze nasz korespondent - *zainstalowanie takich czatowni, najlepiej po uzgodnieniu z właścicielem gruntu, gdyż w przeciwnym razie zostaną zniszczone. Trzeba również uważać, aby stały w odpowiednim oddaleniu od lasu lub zagajników, bo mogą być wykorzystywane przez myśliwych - preparatorów".*

● **Jacek i Artur Piasek, Smardzew 29, 26-807 Radzanów, woj. radomskie,** zrobili 5 karmników i 3 skrzynki lęgowe.

● **Dariusz Stafyniak, Zachodnia 14c/10, 66-300 Międzyrzecz,** zawiesił na balkonie słoninę dla sikor, ale - jak pisze - zamiast sikor korzystają z niej szczygły i sierpówki.

● **Sylwester Stawe, 76-223 Stowięcino 31 woj. słupskie,** zrobił 2 skrzynki lęgowe i 3 karmniki.

● *Zawiesiłem karmnik oraz karmnik z butelki, a wiosną 3 skrzynki lęgowe. Przygotowałem również do karmienia ptaków karmę: 1 torebkę jarzębiny, 2 torebki różnych nasion chwastów polnych, jak np. lebiody, mięty, łopianu, ostu i różnych traw. Mam również zamiar zrobić jeszcze jeden karmnik oraz przygotować wieczka z łojem dla sikor".* Autor tego listu nie przedstawił się i nie podał adresu, niech więc to uczyni, chyba że chce pozostać anonimem.

Klub dziękuje za wszystkie otrzymane życzenia świąteczne i noworoczne!

Zespół Szkół Zawodowych Nr 3 MGIE w Bytomiu, ul. B. Bieruta 120, tel. 81-24-25, ogłasza zapisy dla absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 1985/86

na semestr wiosenny rozpoczynający naukę 15 lutego 1985r, do Zasadniczej Szkoły Górniczej o specjalności:
- górnik kopalń węgla kamiennego,
- mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego,
- elektromonter górnictwa podziemnego.

Uczniowie otrzymują pomoc materialną oraz bezpłatnie: ubrania szkolne, buty, kurtki, krawaty, ubiór do zajęć praktycznych, pomoce szkolne i II śniadania.
Prowadzimy również dwuletnią Szkołę Przysposabiającą do Zawodu, do której warunkiem przyjęcia jest ukończony 16 rok życia oraz ukończona co najmniej 6 klasa szkoły podstawowej.
Zapisy do Zasadniczej Szkoły Górniczej i Szkoły Przysposabiającej do Zawodu przyjmujemy do 15 marca 1985 roku. Dla młodzieży zamiejscowej prowadzimy przy szkole internat. Absolwenci Zasadniczej Szkoły Górniczej mogą kontynuować naukę w 3-letnim Technikum Górniczym dla Pracujących.

(K-128)

UŚMIECH NUMERU

– **MÓWIONO MI, panie Iksiński — zwraca slą do pacjenta lekarz ordynator pewnego szpitala — że rozpoczyna pan dzień od stuknięcia się młotkiem w głowę...**
– **To prawda, panie doktorze, ale młotek jest gumowy!**
– **Jak to?!**
– **No, wie pan, wariat to ja może jestem, ale nie idiota!**

NA BAZARZE pani Mądralowa kupuje kurę.
– **Niech mi pani powie - zwraca slą do straganiarki - czym pani tę kurę karmiła?**
– **A dlaczego panią to interesuje?**
– **No, sama też bym chciała schudnąć...**

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 14 (3944)
Wychodzi: wtorki, czwartki, soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY.: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48.
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW ,,Prasa-Książka-Ruch'' Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Barbara Wasilewska
Nr zam. 207/G. N-12
Nakład 500 000


Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego



Autorką projektu odznaki Rzepklubu jest **Lidka Poznańska**, którą zapisuję do klubu.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!
Życie jest twarde!.. Nasze Studio Telepatycznej Emisji Snów komunikuje z żalem, że z powodu reformy i konieczności samofinansowania się, zmuszone jest wprowadzić nowe ceny. Szczególnie kolorowe, stereofoniczne i trójwymiarowe sny sq obecnie uznane za luksus i obłożone podatkiem - kosztują bardzo drogo. Nadal bez zmiany cen pozostaję sny szare, nijakie i bezbarwne. Koszmarki - darmo.

*

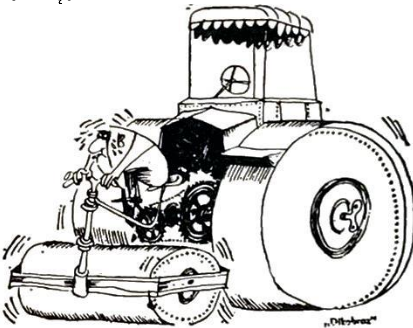
Spółdzielnia Pracy Krasnoludków „Pracuś" wprowadza kolejną podwyżkę cen za wszelkie usługi. Oto nowy cennik:
Czyszczenie butów rano - 50 zł.
Drapanie po plecach (tam, gdzie nie można dostać ręką) - 10 zł.
Podpowiadanie - 30 zł (za godzinę + 50 zł za dojazd do szkoły).
Sprzątanie i wynoszenie śmieci - 45 zł.
Zmywanie naczyń -25 zł.
Wycieranie łazienki - 35 zł.
Opowiadanie bajek przed zaśnięciem - 50 zł (ża godzinę).
Przygotowywanie teczek i tornistrów - 20 zł.
Odnajdywanie zgub - 28 zł (od sztuki).
Wyprowadzanie psa - 18 zł.
Przyszywanie guzików - 8 zł (od sztuki).
Drodzy Klienci naszej Spółdzielni! Mimo powyższych podwyżek cen nie jesteśmy w stanie zagwarantować Wam żadnej poprawy jakości naszych usług. Mamy kolosalne trudności kadrowe, a zatrudnione przez nas Krasnoludki przejawiają coraz mniej chęci do pracy. Radzimy Wam: próbujcie obsługiwać się we własnym zakresie!
Zarząd Spółdzielni „Pracuś"

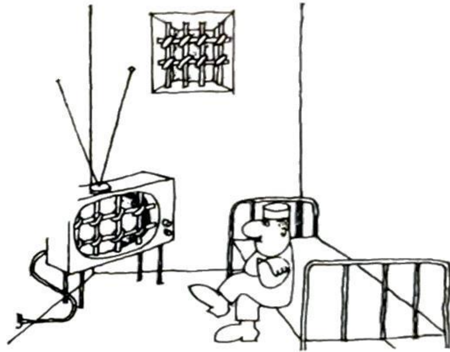
*

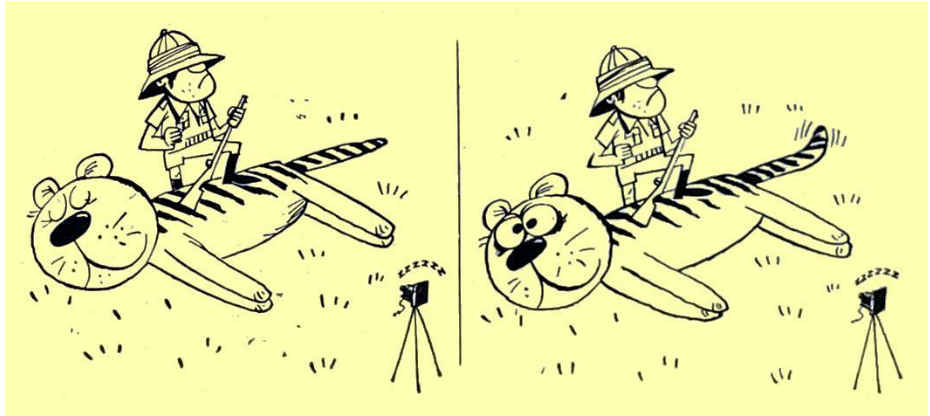
Przy takich cenach ta spółdzielnia chyba splajtuje. Kogo na to stać? Ja będę korzystał od dziś wyłącznie z drapania po plecach za 10 zł.
Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**



RZEPKLUB Żarty wyszperał członek klubu Witek Więch.







Powrót był cudowny, długa droga wydała sę zbyt krótka na to wszystko, co mieli sobie do powiedzenia.

Cóż znaczy wojna, oblężenie Paryża, głuche dudnienie dział? Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze.

O wiele za prędko znaleźli się na ulicy Świętego Rocha.

Pani Cordier okiem znawcy oceniła wytworną sylwetkę towarzyszącego Róży oficera. Zelia przyjęła gościa tak, jak gdyby od dawna na niego czekała.

- Dzień dobry, pani Zelio - pozdrowił ją dawny Miguel Toreno.

- Jaka tam pani — mruknęła Zelia, patrząc śmiało w błyszczące „hiszpańskie" oczy. - Dobrze, że pan przyszedł. Czas najwyższy, żeby ktoś zajął się panienką.

- Jaka tam panienka - przedrzeźniała ją Róża.

- Zaręczyliśmy się - oznajmił Żerań. - Nareszcie będę miał prawo opiekować się wami.

- Bardzo się cieszę - Zelia z uznaniem pokiwała głowę. - Takie czasy, że bez mężczyzny ciężko.

Tak, czasy stawała się coraz cięższe i coraz trudniej było o żywność.

Należało tak gospodarować zapasami, jakie zgromadzono w mieście, by wystarczyło ich jak najdłużej dla dwóch milionów mieszkańców. Każda rodzina otrzymała więc kartki na chleb i na mięso. Przy tym trzeba było kupować te produkty pierwszej potrzeby stale u tego samego piekarza i w tej samej jatce. Chleb można było kupić codziennie, mięso raz na trzy dni, z początku sto gramów na osobę dziennie, potem zmniejszono tę rację do dwudziestu pięciu gramów, by wreszcie z powodu braku mięsa zaprzestać wydawania kartek.

Najpierw na stole pojawiała się wołowina, baranina, a gdy w połowie października zjedzono ostatniego wieprza, żywicielami Paryżan zostały już tylko konie.

Nie każdy mógł się przyzwyczaić do tego przysmaku. Róża na przykład nie potrafiła przezwyciężyć obrzydzenia.

- Nie mogę, Zelio, naprawdę nie mogę. Wolę nic nie jeść - odpowiadała na perswazje zmartwionej sługi. - Wierz mi, nie zdołam tego przełknąć.

Co dzień o piętej rano Zelia stawała w długiej kolejce do piekarni i do rzeźnika. Dopiero po dwóch godzinach zjawiał się oddziałek gwardzistów, by asystować przy sprzedaży i dopilnować porządku, nie dopuszczając do gwałtownych kłótni, a nawet bójek, jakie wybuchały z lada powodu wśród zziębniętych i zdenerwowanych obywateli.

Potem trzeba było iść pod Hale po jarzyny czy po rybę, w sklepach ceny przekraczały możliwości przeciętnej rodziny.

- Już sami nie wiedzą, ile brać — zżymała się Zelia. - Wiesz, co dziś żądają za jajko? Franka. Co ty na to? Za litr fasoli dałam dwa franki. Widziałaś coś podobnego? Za królika chcą dziesięć franków. Cóż miałam robić, kupiłam. Musisz przecież jeść. Pan Ryszard tak nakazał. Bardzo tego pilnuje. Funt świeżego masła kosztuje pięć franków. Są i ryby, a jakże, naturalnie wściekle drogie. Za niewielkiego szczupaka baba żąda piętnaście franków. Targowałam się, ale nic nie opuściła. Wzięłam, bo przecież pan Ryszard...

Ryszard Żerań rzadko pojawiał się na ulicy świętego Rocha. Gwardia Narodowa nie próżnowała: zbrojne wypady, podczas których dochodziło do krwawych potyczek, kosztowały życie wielu obrońców Paryża.

Mimo lęku o narzeczonego. Róża była szczęśliwa. Żyła oczekiwaniem jego krótkiej wizyty. Raz, gdy stał przed dziadusiowym talerzem zapytała:

- Czy wiesz, że twój dziadek posiadał podobny talerz? To właśnie miał być ów znak dla potomków...

- Nie potrzebuję żadnego znaku - przytulił ję do siebie. - I bez tego wiem, jak bardzo cię kocham. Jeżeli chcesz, pokażę ci talerz dziadka Zygmunta - dodał po chwili.

- O tak, koniecznie.

- Gdy wypadnie mi wolne popołudnie - obiecał. - Uprzedzam jednak, że czeka cię długi spacer.

- To talerz nie jest u ciebie, na ulicy Catinat?

- Nie - odpowiedział krótko.

Cdn.



NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW

10



DLA WIĘKSZEJ CHWAŁY BOŻEJ

BOLESŁAW ORŁOWSKI - TEKST *RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ*

Po paru „ciemnych" wiekach, Europa powoli raczyła się podnosić z upadku. Znękani długotrwałym chaosem ludzie próbowali zaprowadzić na nowo ład i porządek społeczny.



Ukoronowaniem owych pragnień i wysiłków stało się zjednoczenie przez króla Franków Karola Wielkiego znacznej części Europy (Francji, Niemiec i Północnych Włoch). Uważał się on za spadkobiercę rzymskich cesarzy. Władza Karola sięgała na wschodzie po Odrę, sława jeszcze dalej, o czym świadczy nasz wyraz „król", wywodzący się od jego właśnie imienia.

Od czasów Karola Wielkiego zaczęto w Europie zachodniej naprawiać dawne rzymskie drogi, tu i ówdzie pobudowano drewniane mosty, wskrzeszono na nowo wydobycie skarbów ziemi w porzuconych przed wiekami kopalniach, przekopywano kanały. Chętnie przyswajano sobie nowości techniczne docierające ze Wschodu. Szybko upowszechniła się podkowa i nowy zaprzęg, umożliwiają-



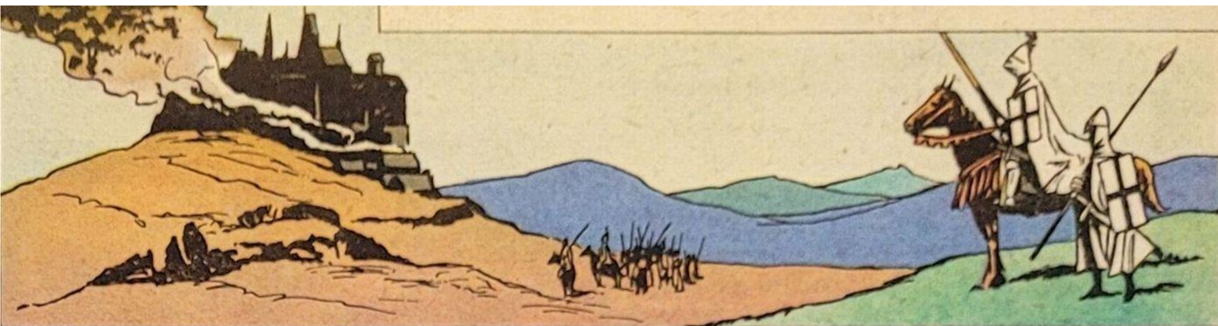
cy orkę konną. Jednym z nielicznych własnych osiągnięć ówczesnej Europy było użycie po raz pierwszy prawdziwego pługa, odwracającego skibę, przystosowanego do uprawy ciężkich wilgotnych gleb europejskich.

Pamięć o dawnej świetności cywilizacji rzymskiej pozostawała wciąż żywa. Z podziwem oglądano ruiny starożytnych budowli i z czasem pokuszono się by je naśladować, mniej lub bardziej udolnie. Przykładem takich prób były kamienne mosty łukowe na Rodanie w Awinionie i na Tamizie w Londynie. Jednakże przez cały okres średniowiecza starożytni pozostawali dla żyjących wówczas ludzi niedoścignionym wzorem, a ich dzieła niezrównaną miarą doskonałości.

Była to więc epoka przeniknięta poczuciem niższości. Nie ma ona zbyt dobrej opinii również i dzisiaj. Ustępowała starożytności zarówno poziomem życia, jak stanem wiedzy. W wielu sprawach nie kierowała się rozumem, dając wiarę najrozmaitszym przesądom i nadmiernie polegając na poglądach starożytnego filozofa greckiego Arystotelesa, którego nauki popierał wszechpotężny wówczas Kościół.

Jednakże w drugiej połowie średniowiecza uczyniono wiele dla rozwijania i upowszechniania techniki. W czasach rzymskich używano kół wodnych wyłącznie do mielenia ziarna. W Europie średniowiecznej zaczęto napędzać nimi tartaki, miechy i młoty w kuźnicach (czyli ówczesnych zakładach metalowych),, urządzenia w garbarniach i wytwórniach sukna, szlifierki, a z czasem także specjalne młyny w papierniach. Na długie stulecia energia wodna stała się podstawowym środkiem napędu w przemyśle.

Własnym osiągnięciem średniowiecza było zaprzęgnięcie do pracy również energii wiatru. Pierwsi uczynili to Persowie, mniej więcej tysiąc lat temu. Ich wiatraki miały pionową oś obrotu - przypominały wyglądem drzwi obrotowe. W dwieście lat później pojawiły się we Francji wiatraki europejskie odmiennego typu, jakie można jeszcze gdzieniegdzie spotkać na naszej wsi. Albo powstały one całkiem niezależnie, albo w oparciu o bardzo niedokładne wieści przywiezione, być może, przez uczestników wypraw krzyżowych.



Wiatrak europejski był znacznie wydajniejszy od perskiego. Początkowo stanowił niewielką budkę obracaną na słupie tak, by wiatr działał na całą powierzchnię skrzydeł. Przypuszczalnie stał się pierwowzorem chatki na



kurzej stopce, występującej w wielu dawnych. bajkach. Nic w tym dziwnego - wykorzystywanie energii wiatru musiało ciemnym wieśniakom ówczesnym kojarzyć się z czarami. Pod koniec średniowiecza pojawił się udoskonalony wiatrak holenderski. Był to już solidny murowany budynek, obracała się tylko wieżyczka, na której zawieszone były skrzydła. Wiatraków używano w średniowieczu niemal wyłącznie do mielenia ziarna. Jedynie Holendrzy, wydzierający morzu zalane przez nie tereny, napędzali z ich pomocą koła czerpakowe.

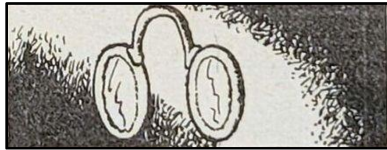
Średniowiecznym wynalazkiem europejskim była armata. Początkowo działa były niewielkie. Najdawniejsze z nich, tak zwane bombardy, miały lufy ze spojonych ze sobą i opasanych obręczami sztabek żelaznych. Pod koniec średniowiecza odlewano już z brązu wielkie armaty, których ciężar dochodził do piętnastu ton. Początkowo strzelano kulami kamiennymi, później ołowianymi i żelaznymi. Skuteczność owych wczesnych dział była niewielka, ale huk ich wystrzałów niewątpliwie oddziaływał demoralizująco na nieprzyjaciela. W średniowieczu używano armat głównie przy obleganiu warownych zamków i miast – starano się za ich pomocą wyłamać bramę lub dokonać wyłomu w murach. Arabowie, Hiszpanie, Portugalczycy i Włosi pierwsi zaczęli również wyposażać swe floty w działa okrętowe.

W średniowiecznej Europie narodził się także zegar mechaniczny. Tego rodzaju ówczesne czasomierze były stosunkowo dużymi, niezgrabnymi i prymitywnymi konstrukcjami. Nie odznaczały się zbytnią dokładnością. Napęd ich stanowiły ciężarki zawieszone na sznurach lub łańcuchach nawiniętych na wał, który obracały opuszczając się pod wpływem siły ciążenia. Tarcze ich wyposażone były tylko w jedną wskazówkę, pokazującą godziny. Zegary takie umieszczano na wieżach ratuszowych lub kościelnych - korzysta-



ło z nich całe miasto. Pierwsze zegary wieżowe zainstalowano w Mediolanie, Modenie, Padwie, Brugii, Genewie, Strasburgu i Wrocławiu.

Pod koniec średniowiecza Europejczycy udoskonalili i rozwinęli drukarstwo. Najwybitniejszym pionierem w tej dziedzinie był Niemiec Johannes Gutenberg, który jako pierwszy posługiwał się prasą drukarską (dociskaną poprzez obrót śruby) i używał metalowych czcionek. Jego największym dziełem było wydanie drukiem Biblii. Sukces tej publikacji przyczynił się do szybkiego upowszechnienia się druku w Europie. Rozwojowi czytelnictwa dopomogły wielce produkowane już wówczas na skalę handlową okulary. Najdawniejsze miały wypukłe soczewki i były przeznaczone dla dalekowidzów, którymi stają się na starość prawie wszyscy ludzie obdarzeni normalnym wzrokiem. Pod koniec średniowiecza pojawiły się takie okulary dla krótkowidzów.



Ludzie średniowiecza wznieśli wiele budowli. Najbardziej imponującymi spośród nich były wielkie katedry gotyckie o ostrołukowych sklepieniach i oknach. Ówcześni budowniczowie opierali się jedynie na intuicji i doświadczeniu - sporo ich konstrukcji zawaliło się, zanim doszli do prawdziwego mistrzostwa w tej dziedzinie. Nieomal każde szanujące się miasto średniowieczne starało się wznieść katedrę większą i piękniejszą od innych. Niekiedy taka budowa trwała przez parę stuleci. Wiele z nich było przedsięwzięciami ponad stan i musiało fatalnie się odbijać na stopie życiowej całej ludności. Owe budowle, których większość przetrwała do dziś, są świadectwem triumfu potrzeb duchowych nad praktycznym, racjonalnym podejściem do życia. Pod tym względem są zbliżone do piramid egipskich.

Chociaż w średniowieczu uczyniono niemało dla rozwoju techniki, prawie nie znamy imion jej ówczesnych pionierów. Ludziom tej epoki z reguły nie zależało na rozgłosie - wystarczało im że są pożyteczni, pracując dla większej chwały Bożej...





Róża słuchała spuściwszy oczy, a to, co mówił stary przyjaciel, zdawało się kruszyć jakiś twardy pancerz ściskający jej serce.

- Czy pani nie zdaje sobie sprawy, jak on panią kocha? Taki człowiek! - pan Hutorowicz podniósł głos, na policzki wystąpiły mu rumieńce.

- Czy naprawdę wierzy pan, że mnie kocha?

- Cóż to znowu za pytanie? Nie spodziewałem się tego po pani. Doprawdy, nigdy.

- Obawiałam się, że teraz, gdy już nie jest lokajem...

- Nigdy nie był lokajem - przerwał pan Hutorowicz z niezwykłą u niego żywością. - Misja, jaką mu powierzono, wymagała stałej obecności w Tuileriach, kontaktu z cesarzem. To sam Napoleon III zaproponował taką właśnie maskaradę. Cesarz nam sprzyjał, choć nie mógł oficjalnie... Przecież pani wie, że tu, wśród nas działał wróg.

- Wiem - szepnęła - Damian.

- Tak, Damian, jego cioteczny dziad, a najbardziej na niego zawzięty. Ta zasadzka w Tuileriach... To właśnie Miguel Toreno, prawdziwy Miguel Toreno uratował mu życie i wyrwał z rąk oprawców. O, panno Różo, bardzo go pani skrzywdziła.

- Tak - przyznała. - Teraz rozumiem. Ale bałam się... nie chciałam, żeby się nade mną litował...

- Co też pani przychodzi do głowy? - pan Hutorowicz załamał ręce. — Jak można osądzać go miarą przeciętnego głupca? Mam nadzieję, że pani tego żałuje.

- Bardzo żałuję - przyznała ze skruchą. - Kiedy pan go zobaczy?

- Może jeszcze dzisiaj. Jak wielu Polaków, wstąpił w szeregi Gwardii Narodowej. Jest dowódcą batalionu. Teraz wszyscy mężczyźni młodzi i zdrowi winni przywdziać mundur.

Róża wstała.

- Do widzenia panu. Raz jeszcze dziękuję i przepraszam. Jestem taka szczęśliwa...

- Biedactwo - rozczulił się pan Hutorowicz. - Tyle wstrząsów. A tu nie mamy już koni. Czeka panią ciężka droga.

Nie wyruszyła w tę drogę sama. Gdy weszli do westybulu, służący witał właśnie porucznika w mundurze Gwardii Narodowej.

Pan Hutorowicz skinął na starego i usunął się do dalszych pokojów.

Róża i Ryszard Żerań zostali sami.

W westybulu panował półmrok i dziewczyna miała nadzieję, że „Miguel Toreno" nie dojrzy jej zakłopotania i rumieńców.

- Witam panią - skłonił się podobnie, jak to czynił lokaj.

- Ryszardzie - powiedziała zdławionym głosem, ale nic więcej nie zdołała powiedzieć, gdyż znalazła się w jego ramionach.

- Kocham cię — szeptał — tak bardzo cię kocham, że to aż boli. Nigdy mi tego nie powiedziałeś - poskarżyła się wodząc palcem po białawej bliźnie na lewej skroni „Miguela Toreno".

- Do tych najważniejszych słów w życiu nie chciałem używać obcego języka. Czekałem, aż będę mógł mówić je tak, jak mówię teraz. Będę je przecież powtarzał przez całe życie. Zawsze.

Róża zamyka oczy. Czyż istnieje na tej ziemi większe szczęście? Chyba nie. Czyż istnieją słowa równe tym, które on jej mówi? Zaprawdę, warto żyć, żeby je usłyszeć. Róża nie chce słyszeć nic innego, tylko te dwa słowa. „Kocham cię" powtarza Ryszard Żerań i Róża wie, że nigdy nie będzie miała tego dość.

Dokończenie na str. 7